Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 17 stycznia 1937 r. Nr. 3



Dusza kobiety

Napróżno badać duszę kobiety
Mędrcom i rzeszy śpiewaków,
Każde ich dzieło zwieńczy niestety:
Napróżno badać duszę kobiety.

Takie w niej wady, takie zalety
I taka znowu toń braków,
Że próżno badać duszę kobiety —
Mędrcom i rzeszy śpiewaków.

W. H.

WOJCIECH HOLM

15)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Dopiero, gdy ujrzeli zamek w oddali, Sylwia, która kilka kroków szła naprzód, zawołała:

— Ojcze, jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że Werner jest tam na górze.

Herbert jednak odpowiedział:

— Nie łudź się nadzieją, bo później rozczarowanie będzie jeszcze gorsze. Kto wie, czy on wogóle jeszcze żyje.

— Żyje — zawołała Sylwia z siłą — żyje i ja go znajdę.

— Daj Boże — odpowiedział leśniczy z westchnieniem.

. . . .

Długo musieli pukać, zanim Alojzy im otworzył i spytał czego chcą.

— Jesteśmy zmęczeni i chcielibyśmy odpocząć — odrzekł Herbert — otwórzcie Alojzy.

U mnie powietrze jest duszne i niedobre, w ogrodzie będzie państwu przyjemniej.

— Chcemy jednak wejść, gdyż córka moja dawno już życzyła sobie obejrzeć zamek Felseg.

Kasztelan uznał, iż dłuższe opieranie się byłoby podejrzanym i chcąc nie chcąc otworzył bramę.

— Jak państwo sobie życzą — rzekł, mnie wszystko jedno.

Duszne i stęchłe powietrze powitało wchodzących. Sylwii serce prawie pękało, gdy sobie pomyślała, że tutaj Werner przyszedł po swoją zgubę. Chciał bowiem ten zamek ponury przemienić w piękne i wygodne mieszkanie, w któreby wprowadził swoją młodą żonę i to stało się jego zgubą.

Smutne wspomnienia osłabiły ją tak, że musiała ująć ramię ojca, gdyż była bliską omdlenia.

— Widzicie państwo, rzekł Alojzy ze źle ukrywanym zadowoleniem — mówiłem, że tu duszno, teraz panience już niedobrze.

Sylwia właśnie na to z tym większą siłą przemogła niemoc i powiedziała spokojnie:

— Nic mi już nie jest.

Poszli dalej i ze zdziwieniem zastali następne drzwi także zamknięte, co ich zdziwiło.

Alojzy tłumaczył się tem, że w okolicy bardzo dużo jest niepewnych włóczęgów i z widoczną niechęcią otworzył drzwi.

Ależ tu panują ciemności egipskie — zawołał leśniczy.

— Meble zniszczyłyby się od światła i słońca — odparł Alojzy. Otworzył okiennice i Sylwia rozglądając się bacznie w około, zobaczyła pokój po staroświecku umeblowany. — Nigdzie jednak nie zauważyła nic podejrzanego.

— Nie ma tu żadnych rzeczy godnych widzenia — mówił Alojzy jakby uniżenie — ale żeby panienka nie myślała, że tu są Bóg wie jakie skarby, oprowadzę państwo przez wszystkie pokoje.

— Proszę bardzo — rzekła Sylwia spokojnie i stanowczo.

Alojzy prowadził ich od pokoju do pokoju, a Sylwia szła za nim z bijącym sercem. Nigdzie jednak nie widziała nic takiego, coby ją mogło naprowadzić na ślad narzeczonego.

Nareszcie rzekł Alojzy szorstko:

— Tu już koniec.

— Jeszcze jedne drzwi przecież — zdziwiła się Sylwia.

— Tam są tylko stare graty i ciężkie szafy.

— Właśnie takie rzeczy mnie interesują — zawołała Sylwia — otwórzcie te drzwi, Alojzy!

— Nie mam klucza od nich przy sobie — odparł kasztelan.

— Może który z tych kluczy ,które macie przy sobie przyda się — rzekła Sylwia.

Jakby na złość, Alojzemu, pierwszy klucz, który do ręki wziął, zaraz otworzył drzwi.

Sylwia prędko odsunęła sama okiennice i gdy światło dzienne zalało pokój natychmiast zwróciły jej uwagę płyty granitowe, któremi pokój był wykładany.

— Te płyty z pewnością się przesuwają — zawołała.

Ona jednak nie dała się odstraszyć i przypatrywała się podłodze bardzo uważnie.

Przy tym zobaczyła krzyż, który Ilona zrobiła na jednej płycie. Uklękła natychmiast i próbowała ją przesunąć.

— Raczej przesunie się sklepienie niebieskie — odparł Alojzy, patrząc na nią spojrzeniem pełnem złośliwości.

Alojzy widział, że to nie ta i ze złośliwym uśmiechem przypatrywał się jej usiłowaniom, którym przyszedł z pomocą leśniczy.

— Możecie państwo do sądnego dnia odsuwać i nic nie pomoże — mówił pewny siebie.

Oni zaś oboje klęczeli i pot lał im się z czoła z daremnych wysiłków.

— Nie idzie — rzekł wreszcie leśniczy.

Oczy Sylwii napełniły się łzami, które natychmiast otarła.

Pomyślała sobie, że może dobrze będzie zaśpiewać ulubioną piosenkę Wernera, bo jeżeli gdzie jest w pobliżu, usłyszy i odpowie.

Zebrała wszystkie siły i najgłośniej jak tylko umiała, zaczęła śpiewać pieśń, którą mu zawsze śpiewała o szarej godzinie w ogrodzie leśniczówki.

Po każdej zwrotce przestawała śpiewać i czekała odpowiedzi.

Wreszcie skończyła już pieśń całą i zakończyła długim, przeciągłym tonem.

Ale żaden z tych tonów nie doszedł uszu biednego więźnia.

Dzieliła ich tylko cieńka płyta granitowa, a jednak zdawało się, że dzieli ich morze całe i przepaście.

Alojzy triumfował w duchu. Gdy skończyła, rzekł z ironią:

— Nietoperze mi panienka wystraszy. A teraz już mi pani wierzy, że tu nie ma żadnych ukrytych skarbów?

Sylwia płakała a równocześnie na dole Werner myślał o niej i serce mu pękało.

Nie przeczuwał, że ona jest tak blisko.

Ach, — gdyby mu jakiś dobry duch był szepnął o tem!

— Chodź do domu, dziecko — rzekł leśniczy troskliwie, lecz ona potrząsła głową. Zdawało się, że tysiące cieniutkich, ale nadzwyczaj silnych nitek trzyma ją na miejscu.

Otworzyła okno, przez które weszło do pokoju balsamiczne, górskie powietrze.

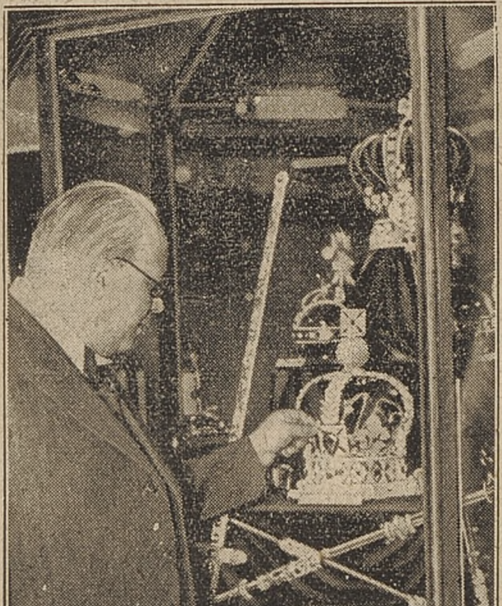
— Jaki stąd ładny widok! jak też ładnie w naszych górach — zawołała.

— Bez powodzi i bez lawin możnaby tu wcale dobrze żyć — mruknął Alojzy — ale gdyby panienka wiedziała, jakie tu szkody narobiła woda. Zburzyła prawie cały folwark górski.

— A mieszkańcy folwarku? — zapytała Sylwia, blednąc.



W Algierze, w grze w bilard, zwycięstwo odniósł niemiecki mistrz August Fiedtke — Düsseldorf, zwyciężając Francuza Davine, w stosunku 6—4 punkty.



Jeden z angielskich zbieraczy osobliwości zebrał żmudną, trwającą zgórą 40 lat pracą, liczne kosztowności królewskiego domu angielskiego i innych państw. Na zdjęciu widzimy witrynę z koroną i berłem Anglii. Zbyt tanie nie były te okazy, kiedy koszta ich wynoszą około 30 tysięcy funtów angielskich.





W Hadze odbyło się uroczyste złożenie przysięgi narzeczonego holenderskiej następczyni tronu, księcia Bernarda Lippe-Biesterfeld. Książę został mianowany przez królową oficerem marynarki I klasy, kapitanem holendersko-indyjskich sił zbrojnych i rotmistrzem kawalerii. Na lewo widzimy księcia w uniformie błękitnych huzarów, na prawo zaś królowę Wilhelminę i następczynię tronu podczas uroczystości związanych z złożeniem przysięgi.

— Stary z żoną zginął — opowiadał kasztelan obojętnym głosem — a dziewczyna, którą mieli przy sobie, wyjechała z jakimś bardzo bogatym, wielkim panem do Wiednia.

Jeśli kasztelan miał zamiar odwrócić tem opowiadaniem myśli Sylwii na inne tory, to mu się to rzeczywiście udało.

Pomimo, że serce Sylwii przepełnione było własną niedolą i własnem cierpieniem, to przecież myślała z gorącem współczuciem, o ładnej dziewczynie, która wychowała się w samotności prawie większej niż klasztornej, a teraz tak nagle w wielki świat wypchniętą została.

— Biedna Hortensja — westchnęła głęboko, myśląc o niej.

— Tak się nazywała — potwierdził Alojzy — Ignacy mówi, że ten pan się z Hortensją ożenił. Ale jak w naszych czasach wielki pan żeni się z biedną dziewczyną, to musi ona mu się już bardzo podobać.

Ale tak mało to licowało z usposobieniem nieśmiałej i nadto aż skromnej Hortensji, że Sylwia mimowoli uśmiechnęła się do siebie.

— Może się panienka trochę po ogrodzie przejdzie? — zapytał kasztelan. — Brzoskwinie są już dojrzałe i gniją tu bez pożytku, bo nie mam nikogo, ktoby mi pomógł spożyć ten dar Boży.

— Jestem zmęczona — rzekła Sylwia — i chciałabym tu wypocząć. Byłabym bardzo wdzięczna za przyniesienie mi kilku brzoskwiń.

Dozorca więźnia Wernera oddalił się niechętnie, by spełnić życzenie młodej damy.

Skoro tylko wyszedł z pokoju, Sylwia zapytała ojca, czy nie wydaje mu się dziwną, nagła rozmowność Alojzego, któremu zawsze trzeba było każde słowo gwałtem z ust wyciągać.

— To prawda — odrzekł leśniczy — on musi być dzisiaj trochę podchmielony.

Sylwia zaprzeczyła.

— Nie — rzekła — to tak wygląda, jakby chciał nas zagadać i uwagę naszą odwrócić.

Boże — zawołała potem — gdyby tak Werner znajdował się tutaj.

Głośno zawołała kilkakrotnie jego imię, ale odpowiedziało tylko echo, powtarzając szyderczo.

Uklękła i próbowała na nowo odsuwać płyty kamienne w podłodze.

Wtem wrócił Alojzy, niesąc całą gałąź pełną dojrzałych i dojrzewających brzoskwiń.

— Panienka naprawdę myśli, że tam jest skarb zakopany, raniąc sobie tak palce, szukając, a tam naprawdę nic niema.

— Alojzy — rzekła Sylwia, patrząc mu w oczy — kto ci najwięcej dobrego zrobił w życiu?

— Mnie nigdy nikt nic dobrego nie zrobił — odrzekł Alojzy.

— Czyś już zapomniał co zawdzięczasz familii Wildenstein? Czy hrabina nie była twoją dobrodziejką?

— Boże mój — odpowiedział Alojzy — co jej tam zależało na tych kilku guldenach, które mi dała. Tacy państwo nieraz za godzinę na niepotrzebne rzeczy wydają więcej, niż my przez całe życie.

Dawała mi na lekarza i aptekę, ale to nie było ofiarą. Dla swego psa, jak Boga kocham, z pewnością robiła więcej.

— Niewdzięczniku! — zawołała gniewnie Sylwia — to tylko złe serce zapomina o dobrodziejstwach!

— Dobrze panience mówić — odrzekł z szyderczą miną — kogo prześladują jak dzikie zwierzę, ten musi tak mówić jak ja.

Muszę zawsze być na baczności, bo ludzie, to moi wrogowie. Kto wciąż jest w takiem naprężeniu jak ja, nie może być innym.

— Ale pani hrabina dała ci schronisko, gdzie możesz żyć bezpiecznie. Nie jesteś za to jej wdzięczny? — spytała Sylwia.

— Ależ panienka do mnie jak ksiądz proboszcz przemawia do dzieci, dobrze żem dorosły człowiek i że nikt mnie nie śmie przesłuchiwać jak złodzieja. Ja się do panienki także nie wtrącam, więc czego panienka chce ode mnie!

Patrzył na nią przenikliwie surowym wzrokiem.

Wzrok ten tak był zimny, że Sylwia uczuła bezsilność próśb swoich, choćby najczulszych.

Postanowiła więc inaczej się zabrać do rzeczy.

— Alojzy — rzekła — chciałbyś się wzbogacić?

— Czemu nie — zaśmiał się ordynarnie — to nikomu nie przeszkodziło!

— Możesz się wzbogacić, jeżeli pomożesz mi.

— Czy mam panience pomóc wykopać skarb jaki?

— Pomóż mi wyszukać mego narzeczonego, hrabiego Wildensteina, a dostaniesz 100.000 reńskich nagrodę.

— Nie źle by było, — odrzekł — ale czy panienka ma prawo rozporządzać majątkiem hrabiego?

— Jestem jego narzeczoną!

— Nie rozumiem się na ustawach, ale zdaje mi się, — mówił dawniejszy kłusownik — że narzeczona nie ma prawa rozporządzać majątkiem narzeczonego, gdyż inaczej każda mogłaby przepuścić majątek swego narzeczonego, a potem poszukać sobie innego.

— Hrabia Werner spełni wszystko, co ja przyrzeknę — zapewniła Sylwia.

Alojzy uważał za stosowne, iż będzie najlepiej udać, że się zgadza.

— Jeżeli panienka mi to zapewni, to ja spróbuję — rzekł dobrodusznie, wyciągając do niej rękę.

Sylwia wzięła w swe ręce grubą dłoń jego, choć nie miała wiele nadziei.

Leśniczemu wydawało się, że nie ma po co dłużej tam bawić i upominał, by już wracać do domu.

Poszli więc, Alojzy zaś odprowadził ich.



Z wielkim trudem udało się uwiecznić na kliszy małego rasowego niedźwiadka z ogrodu zoologicznego w Berlinie.

Zapomniana gałąź z brzoskwiniami, pozostała na płycie, pieczętującej więzienie Wernera.

Kasztelan patrzył za odchodzącymi szyderczym wzrokiem, aż mu znikli z oczu, potem wrócił.

Diablik jakiś poddał mu myśl — odsunął płytę i wrzucił gałąź do piwnicy.

— Panie hrabio — panna Sylwia to pozostawiła na pamiątkę.

Werner siedział zamyślony na łóżku i teraz na widok światła dziennego podskoczył.

— Co mówisz — spytał.

— Panna z leśniczówki była tutaj — odpowiedział kasztelan z szatańskim uśmiechem i pokrwawiła sobie palce chcąc odsunąć płyty granitowe.

Wołała pańskie imię tak, że mało jej płuca się nie zerwały, potem śpiewała, myśląc, że pan słyszy, a potem płakała, jak dziecko, któremu zabrano zabawkę.

— Bez serca człowieku i tyś mógł patrzeć na to, nawet ten widok twe serce kamienne nie wzruszył. A ja nieszczęśliwy, nie przeczuwałem nawet, że ona jest tak blisko.

— Nie chciała odejść — mówił dalej Alojzy, ciesząc się męką więźnia jak szatan — dłużej niż godzinę była tutaj. Te brzoskwinie sam musiałem jej przynieść z ogrodu, ale ona nie jadła, trzymała je tylko w ręku. Smacznego apetytu, panie hrabio!

Rzekłszy to, z szyderczym śmiechem zamknął znowu otwór. Rozpacz czarna ogarnęła więźnia.

Alojzy nie kłamał, Sylwia była tu i jego nie znalazła.

Werner z rozpaczy chciał głową tłuc o ścianę więzienia i szalał tak długo, aż bez tchu zmęczony legł na ziemi.

Tak blisko było szczęście — i uciekło, tak blisko a zarazem tak daleko.

ROZDZIAŁ LIII
Fatalny dar

Długie godziny leżała Ilona z zamkniętemi oczyma na łożu, ale nie spała, choć spokojny jej oddech i spuszczone powieki dawały jej pozór śpiącej osoby.

Każdy z cyganów zbliżywszy się do niej, oddalał się znów, nie zbudziwszy pozornie śpiącej Ilony, która tym sposobem miała dość czasu do knucia diabelskich swych planów.

Późno po obiedzie, prawie wieczorem, wstała Ilona ze swego łoża, zjadła trochę skromnej strawy i wyszła do lasu, do szemrzącego źródła, okolonego wąskolistnemi wierzbami. Ścięła z nich znaczną liczbę młodych, giętkich gałązek i zanurzyła je w wodzie.

— Czy chcesz upleść koszyczek? — spytał znany jej głos męski.

— Zgadłeś — rzekła obojętnie.

— Co mi dasz, jak ci oszczędzę pracy i daruję nowy koszyczek? — spytał Alojzy.

— O, tyś bardzo skory do dawania — droczyła się Ilona — tybyś chciał tylko zawsze prezenta. Czy nie dałam ci dopiero niedawno wybornej wódki anyżowej?

— Była tak wyborna — krzyknął Alojzy — że mnie jeszcze dziś od niej głowa boli. Chciałem cię już zapytać, co z nią zrobiłaś?

— Co z nią miałam zrobić? — zapytała cyganka od niechcenia — była to stara, mocna wódka, a tyś w swojem nieumiarkowaniu wychylił naraz całą flaszkę i to ci nie posłużyło. Czyż ja cię nie ostrzegałam? Ale to ci zresztą niewiele szkodziło — dodała z pobłażaniem — to było już późno wieczorem, robotę swoją już ukończyłeś i mogłeś spokojnie położyć się spać. A na przyszły raz bądź ostrożniejszy.

Spokojne słowa cyganki rozproszyły zupełnie podejrzenie Alojzego.

— Czy chcesz koszyczek? — zapytał cygankę, obrzucając pełną jej postać płomiennem spojrzeniem.

— Jak jest ładny, jak mnie pięknie o to prosisz, to go przyjmę — odparła śmiejąc się cyganka.

— Dawać i prosić to za dużo — zawołał kasztelan — chodź i zobacz go.

Jeśli ci się on spodoba, a dasz mi całusa, to dostaniesz go.

Zamiast odpowiedzi zaczęła śpiewać wesołą piosenkę, siadła u brzegu strumyka, umaczała swe nogi w wodzie i pluskała się w niej jak ryba.

Chwilę patrzał Alojzy na opalone jej nogi, któremi mąciła wodę, a potem nie mogąc się oprzeć pokusie, schylił się i złożył pocałunek na pięknych jej ustach. Lecz ta śmiałość nie wyszła mu na dobre, bo nim się obejrzał, dostał od niej ręką bardzo silnie w twarz.

— To się nazywa policzek — rzekła — i takich możesz więcej ode mnie oberwać.

— Poczekaj, ja ci się odpłacę — pienił się Alojzy ze złości. Uchwycił ją i próbował zatrzymać, ale smukła jej postać wywinęła się jak węgorz z jego rąk i znikła natychmiast w krzakach, z których go jeszcze szydząc, nawoływała.

Alojzy zacisnął pięście i klął na czym świat stoi, ale złość jego nie długo trwała. Po kilku minutach wyszumiał i zawołał łagodnym już głosem:

— Ilono, skarbie mój, wróć do mnie.



Kąpiel należy w szkołach japońskich do obowiązków. Zdjęcie nasze przedstawia kąpiel chłopców w olbrzymiej wannie. Między uczniami siedzi również ich nauczyciel.



Przed paru dniami dwaj Alpiniści schodząc ze szczytu Watzman, (widzimy na zdjęciu), w Alpach bawarskich, spadli i zatrzymali się na znacznej wysokości. w wgłębieniu skalnym. Kierownikowi akcji ratunkowej z Berchtesgardener Józefowi Uschaner,owi udało się jednak z samolotu zrzucić nieszczęśliwym turystom pewien zapas żywności, dopóki nie dotarła do nich ekspedycja ratunkowa.

Ale cyganka nie dawała znaku życia. Przykucnęła w krzakach i przypatrywała się, dusząc się od śmiechu, daremnym jego zabiegom, by ją odszukać.

— Ilono — przyniosę ci koszyczek tutaj — obiecywał Alojzy.

— Spodziewam się, że nie będzie on próżny i że coś bardzo ładnego weń włożysz? — wołała Ilona ze swego ukrycia.

— Czy napełnić go pięknymi owocami? — spytał kasztelan.

— Możesz napełnić go owocami, ale muszą być one całkiem dojrzałe — raczyła cyganka łaskawie odpowiedzieć.

— Czy poczekasz tu na mnie? — zapytał znowu Alojzy.

— Jak długo nie potrwa — oświadczyła Ilona, która obchodziła się z nim tak, jak królowa z swoim poddanym.

Szybkim krokiem oddalił się Alojzy i wrócił niebawem zmęczony i spocony, niosąc zgrabny koszyczek, napełniony aż po brzegi najpiękniejszymi owocami.

Cyganka leżała w całej swej okazałości nad brzegiem strumienia.

— Dawaj je tu! — krzyknęła, wyciągając czarną rękę.

Alojzy podał jej zgrabny koszyczek, który ona pochwyciła bez słowa podzięki i zaczęła łapczywie wyciągać i pożerać brzoskwinie i winogrona.

Kasztelan przypatrywał się jej błyszczącymi namiętnie oczyma.

— Jesteś najpiękniejszą dziewczyną na całym świecie — rzekł zachwycony. — Była dziś w zamku panna z leśniczówki. Jest ona także piękną, ale nie można jej porównać do ciebie.

— Czego chciała ta panna od ciebie? — zapytała Ilona ciekawie.

— Chciała, żebym jej oddał narzeczonego — zaśmiał się Alojzy brutalnie — myśli ona, że ja go gdzieś trzymam na uwięzi. Gdybyś ty słyszała dziewczyno, jak ona mnie błagała i jak mi złote góry obiecywała, abym jej tylko odszukał jej narzeczonego.

— A czy jej go odszukasz? — spytała cyganka, mierząc go spojrzeniem.

— Co ona mnie obchodzi — ofuknął ją Alojzy rubasznie — jej łzy mnie nie wzruszą, niech wypłacze swe niebieskie oczęta.

— A czy ty wiesz, gdzie się znajduje hrabia? — badała go cyganka.

— Pewno, że wiem — zawołał Alojzy — umarł! A że był dobrym katolikiem, to pewnie dusza jego jest w niebie.

— A czy wiesz, że jedna gałąź hrabiów Wildensteinów przeszła na wiarę luterską? — spytała cyganka — gałąź ta jednak wygasła.

— Wszystko mi jedno — zapewniał ją kasztelan — twoje drobne ręce więcej są dla mnie warte, niż wszyscy hrabiowie tej ziemi.

— Gdyby to było prawdą, cieszyłoby mnie — zaśmiała się Ilona, a potem wstała, wygładziła swą kolorową spódnicę i zaczęła uciekać po bardzo niewyraźnym pożegnaniu z kasztelanem.

— Dokąd biegniesz? — wołał za nią.

— Do swego obozu — odpowiedziała wesoło — nie chcę, aby mi tam najlepszy kęs z kotła wyciągnęli w mojej nieobecności.

To mówiąc, pobiegła szybko, aby zastać jeszcze wieczerzę.

Posiliwszy się, tańczyła jeszcze do północy, a potem wymknąwszy się niepostrzeżenie z koła tancerek, pobiegła do lasu.

Tam przykucnąwszy, czekała, aż północ nie minie, a potem zaczęła zbierać zioła, szepcząc przy tem jakieś indyjskie zaklęcia i błyskając oczyma.

Gdy już miała dość uzbieranych ziół, wsunęła się napowrót do obozu i zaczęła wyciskać soki tych ziół do glinianego naczynia, następnie wlała je do flaszeczki szklanej, którą mocno zakorkowała i schowała za pazuchę.

Gdy się z tem uporała, rozbiła gliniane naczynie w kawałki, które wyrzuciła, a wyciśnięte zioła zakopała w ziemię.

— Teraz mogę spać spokojnie — mruknęła, wyciągając się na swym łożu.

Wkrótce zasnęła snem sprawiedliwych, mimo morderczych zamiarów i gwałtownej trucizny, którą schowała na swym sercu.

Nazajutrz wczesnym rankiem była już w zamku Felseg, gdzie się uwijała wśród brzoskwiń i winogron, jak gdyby ten ogród był jej własnością.

Koszyczek, który dostała wczoraj od Alojzego, stał obok niej, a ona napełniła go najpiękniejszymi owocami. Następnie przybrała go różami, goździkami i niezapominajkami i oglądnęła się ostrożnie w około.

Gdy się przekonała, że nie ma nikogo w pobliżu, wyrwała cieńką trawkę, zrobiła nią nieznaczną dziurkę w jednej z brzoskwiń i przez trawkę, jak przez szklaną rurkę wsączyła zabójczą truciznę z flaszeczki, którą wyjęła z ukrycia, do smacznego, widokiem swym nęcącego owocu.

Przez kilka minut zaledwie trwało szatańskie to dzieło.

Ilona odrzuciła trawkę, zakorkowała flaszeczkę starannie i schowała ją znów ostrożnie, poczem położyła zatruty owoc na sam wierzch koszyka i z wesołym uśmiechem i pieśnią na ustach skierowała swe kroki do Königswalden.

Gdy stanęła na progu leśniczówki, wyglądała jak uosobienie wesołości i niewinności. Taki pozór miała w chwili, w której postanowiła w złem swojem sercu uśmiercić dobrą osobę, która jej nigdy w życiu nic złego nie zrobiła.

Sylwia, która z miejsca swego przy oknie pierwsza zobaczyła cygankę, pobiegła naprzeciw niej i powitała ją uprzejmie.

Z wspaniałą gracją i wdziękiem niezrównanym podała jej Ilona koszyk z owocami.

— Dar biednej cyganki niegodzien jest odbiorczyni — rzekła melodyjnym głosem — ale Ilona nie chciała przyjść z próżnymi rękoma, a nie miała nic lepszego.

— Chciałaś mi przyjemność sprawić, dobra dziewczyno — odrzekła Sylwia dobrotliwie — i cel swój osiągnęłaś w zupełności! Co za śliczny koszyczek! Co za delikatne owoce!

Oko jej spoczęło na brzoskwiniach, a myśli jej zwróciły się ku zamkowi Felseg.

Czy gałązka brzoskwiniowa, którą jej dał Alojzy, nie spoczęła przypadkowo na grobie Wernera?

Ciężkie westchnienie wyrwało się z jej piersi.



Chociaż na równinach jeszcze smutne roztopy, na stokach gór, już od paru miesięcy legły śniegi i otwarły dla narciarzy pole do popisów.

— Dlaczego panienka taka smutna i stroskana — rzekła, przymilając się cyganka — co za troska trapi panienkę?

— Znasz moją niedolę — była odpowiedź Sylwii.

Cyganka zaczęła śpiewać jakąś smętną piosenkę o straconym kochanku, ale zaraz urwała, bo pani Herbert ukazała się we drzwiach, a niechętne jej spojrzenie było wyraźnym protestem przeciwko słowom cyganki, dotykającym brutalnie świeżej jeszcze rany w sercu Sylwii.

Musisz być zmęczona długą drogą, usiądź i wypocznij — zapraszała Sylwia swą nieprzyjaciółkę.

— Stokrotne dzięki, piękna panienko — wymawiała się Ilona — nie mam czasu na wypoczynek, mam jeszcze długą drogę przed sobą.

— Więc się przynajmniej posil na drogę — nalegała Sylwia — przyniosę ci prędko jakąś małą zakąskę.

— Proszę się nie trudzić, łaskawa panienko — prosiła nielitościwa cyganka — nie mogłabym teraz ani jednego kęsa przełknąć. Lecz jeśli mi panienka chce wielką przyjemność sprawić, to niech panienka skosztuje te owoce! Proszę wziąć tę brzoskwinię, będzie z pewnością słodka i soczysta jak żadna inna.

To mówiąc, wskazała cieńkiemi, czarnemi palcami na zatruty owoc.

— Proszę jeść — prosiła, łasząc się. Sylwia obiecała z uśmiechem, że zje tę brzoskwinię i wsunęła cygance na pożegnanie jeszcze kilka złotówek do ręki.

Przez chwilę zadrgało coś w twarzy cyganki, która jakby się wahała czy nie rzucić Sylwii daru jej pod nogi. Opanowała się jednak prędko i dziękując uniżenie, schowała pieniądze do kieszeni.

Sylwia odprowadziła swego gościa aż do furtki, a gdy wróciła, zapytała ją matka:

— Czy nie dałaś tylko tej cygance za dużo za jej podarunek?

— Dlaczego mamusia się pyta? — rzekła Sylwia.

Bo pierwsza brzoskwinia którą zjadłam, tak była wodnista i tak nieprzyjemny miała smak, żem jej dojeść nie mogła.

A Ilona właśnie tę brzoskwinię najwięcej mi polecała — odrzekła Sylwia — i prosiła mnie niezliczone razy, abym ją sama zjadła.

— Nic nie straciłaś, moje dziecko — odparła pani Herbertowa — i jeśli reszta owoców nie jest lepsza, to trzeba je będzie wyrzucić.

Ukąsiła inną brzoskwinię, która była wyborną, jak również inne owoce.

— A więc sądziłam przedwcześnie — uśmiechnęła się dobrodusznie leśniczyna.

— — — — — —

— — — — — —

W ciągu dnia trucizna jeszcze nie skutkowała, ale około północy przeraźliwy krzyk zbudził mieszkańców leśniczówki.

Wszyscy powyskakiwali z łóżek, poubierali się na prędce i pospieszyli do sypialni Herbertów, z której krzyk pochodził.

Na łożu leżała wijąc się w kurczach Herbertowa, z bladą i wykrzywioną twarzą z bólu. Na ustach zaś miała pianę.

Oczy wyskakiwały jej z zagłębień. Załamała ręce tak mocno, że paznokcie wpiła w mięśnie.

— Na Boga! co się kochanej matce stało — krzyknęła Sylwia zrozpaczona.

Chora chciała odpowiedzieć, ale tylko przyciszony bełkot wyrwał się z jej ust.

Sylwia użyła wszystkich możliwych środków, aby ulżyć cierpieniom kochanej swej matki, ale wszystkie dotychczas użyte medykamenta okazały się bezskuteczne.

Herbert posłał spiesznie do miasta po lekarza, ale że to było daleko, tenże przybył dopiero nad ranem.

Zbadał chorą dokładnie i skonstatował wszelkie objawy otrucia.

— Czy zachorował kto jeszcze z rodziny? — zapytał lekarz.

Pytaniu zaprzeczono i Herbert oświadczył, że zatrucie jest wykluczone.

Lekarz jednak obstawał przy swojej diagnozie i zaordynował w pierwszym rzędzie coś na wymioty, następnie jakieś lekarstwo na poty. Nie ukrywał również przed rodziną, iż niebezpieczeństwo jest wielkie a nadzieja wyzdrowienia mała.

Sylwia chodziła niestrudzenie około chorej, a wzrok jej spoczywał często na niej z wyrazem nadludzkiej miłości a zarazem rozpaczy nad bladą jej twarzą, którą ból wykrzywił.

Nieustanne kurcze wstrząsały ciałem nieszczęśliwej kobiety.

Umysł jej był zupełnie zamroczony. Trapiły ją widziadła gorączkowe, a z ust jej wymykały się słowa:



W ostatnich dniach musiał lądować na południowym Atlantyku niemiecki hydroplan pocztowy. Pierwszej pomocy udzielił niemieckiemu samolotowi francuski statek patrolowy. Na zdjęciu widzimy francuski okręt, a na lewo niemiecki hydroplan.

— Sprowadź ją tu, może jeszcze jest jaki ratunek możliwy.

To znów szepnęła cicho:

— Taka młoda i piękna, a już musi umierać.

Po małej przerwie wykrztusiła znów:

— Tak mi Boże dopomóż! Chcę ją u siebie zatrzymać i wychować jak własne dziecko!

Lekarz położył rękę na sercu chorej, które biło słabo i nieregularnie.

— Jeżeli Bóg cudu nie uczyni, to chora jest stracona — rzekł.

ROZDZIAŁ LIV.

W poczuciu winy

W karczmie w Königswalden bójka trwała dalej, mimo, że arendarz był o tyle ostrożny, że zgasił zaraz lampę. Pijani bili się po ciemku, nie zważając na to, czy pięściami uderzają przyjaciela, czy wroga.

Nareszcie jednak zmęczyli się.

— Pokazałem wam — wołał rudy Mayer — że sobie nie pozwolę w kaszę napluć!

Za jego hojność, rodacy odpłacili mu sińcami. On jednak był zadowolony, że dał im do poznania siłę swoją w sposób namacalny.

Zarządano światła, aby wdziać napowrót surduty.

Arendarz zaświecił światło, upewniwszy się jednak wprzód, czy rzeczywiście bójka ustała.

Światło oświeciło pokrwawione twarze, podrapane ręce. Na podłodze zaś była kałuża piwa i potłuczone szklanki.

Arendarz lamentował:

— Sodoma i Gomora! Wszystko potłuczone, nawet lustro, które miałem od przodków. Tyś Mayer wszystkiemu winien, ty mi musisz za wszystko zapłacić!

— Bo i ma z czego — powiedział jakiś z gości. — Co u niego znaczy parę guldenów.

— O tem pomówimy później — odpowiedział rudy ponuro. — Gdzie moja kobieta?

— Pewnie na dworze między babami — odpowiedział mu gospodarz.

Mayer obtarł krew z twarzy, naciągnął surdut i zawołał na żonę.

— Poszła do zamku odwiedzić znajomych — odpowiedziała mu jedna z kobiet.

— Składa wizytę panu baronowi — wtrąciła któraś dowcipna, a wszystkie zaśmiały się, nie przeczuwając nawet, że to było niedalekiem od prawdy.

Mayer poszedł do zamku i w oficynach między służbą rozpytywał o żonę.

Okazało się, że jej tam nikt nie widział jeszcze.

— Ależ ona szła tutaj — irytował się Mayer.

— Małgorzata widziała, jak tu szła, aż do samej bramy.

— To może rozmawia z którym ogrodnikiem — odezwała się Julka, pokojówka.

Nie odpowiadając ani słowa, pospieszył Mayer do parku i tam w pierwszej alei zawołał głośno imię swej małżonki.

Ona usłyszała głos męża, który jej się wydał głosem sądu ostatecznego. Zadrżała w ramionach barona i szepnęła mu:

— Schowaj się tu w krzakach, żeby on cię nie zobaczył.

Baron na pożegnanie wycisnął gorący pocałunek na jej ustach i usłuchał jej rady.

Ona zaś sparła łokcie o stół kamienny i udawała że śpi.

Mayer szedł coraz głębiej w park i coraz bardziej zbliżał się do niej, wołając wciąż:

— Zuzio, Zuzio!

Pozwoliła mu przejść koło siebie i dopiero, gdy minął ją, wstała, ziewając.

— Dobrze, żeś mnie zbudził — rzekła, rzucając się czule w jego ramiona. — Byłabym tu całą noc przespała, a to niezdrowo.

— Spałaś? — zapytał zdziwiony — tutaj? Cóż to ma za sens?

— Nie chciałam przecież spać tutaj — rzekła — siadłam sobie tylko tutaj w altanie, bo byłam zmęczona i zdrzemnęłam się.

Ale Mayer był podejrzliwy. Poprowadził ją do altany, nieznacznie wyjął z kieszeni zapałki i zaświecił jedną.

Zobaczywszy, że w altanie nikogo nie ma, odetchnął swobodnie.

Zuzia bała się jednak, żeby Mayer nie zechciał szukać dalej, w pobliżu altany i aby odwrócić rozmowę, spytała:

— A czy dałeś im tam w karczmie nauczkę porządną?

— Naturalnie — zaśmiał się rudy — popamiętają oni mnie.

— To chwała Panu Bogu — rzekła Zuzanna — nie chciałabym, żeby mój mąż był tchórzem. Ale gdzie my przenocujemy? — spytała.

— W karczmie — odparł.

Głodna jestem i spragniona — żaliła się Zuzia — chodźmy na wieczerzę, a potem udamy się na spoczynek. Jutro wcześnie musimy wyruszyć.



Miłe i zabawne zdjęcie z pięknego wybrzeża Kalifornii. Urocze Amerykanki zawzięcie obsypują się pod zielonymi palmami śniegiem, wytworzonym przez fabrykę sztucznego lodu w Los Angelos.

Nie tak bardzo — odpowiedział nieostrożnie Mayer — muszę przecież wprzód pomówić z baronem, a on tak wcześnie nie wstaje.

Zuzia zdziwiła się.

— A ty co chcesz od barona? — spytała, głaszcząc go czule.

— Nic od niego nie chcę, tylko pisma polecającego, a że muszę w Ameryce znowu szukać służby, poproszę go, żeby mi wystawił świadectwo służbowe, bo zapomniałem wziąć od pana hrabiego.

— A tak — odparła Zuzia udając, że wierzy, jednak przypuszczała, że ją mąż okłamuje i w tym znajdowała usprawiedliwienie swego postępku.

W gospodzie właśnie z apetytem spożywała wieczerzę, podczas gdy syn arendarza uczył się lekcji, odmawiając dziesięć przykazań.

Gdy czystym, dziecięcym głosem wymówił przykazanie traktujące o dochowaniu i złamaniu wiary małżeńskiej, Zuzanna zadrżała i nóż wypadł jej z ręki uderzając z brzękiem o talerz.

— Co ci się stało, Zuziu? — zapytał zaniepokojony Mayer.

Zuzanna poczerwieniała jak burak.

— Nie chcę cię niepokoić — rzekła — ale już dziś kilka razy niedobrze mi się zrobiło.

— Żebyś mi się tylko nie rozchorowała — zatrwożył się rudy.

— Co Pan Bóg da — odparła Zuzia, spuszczając oczy.

— Ach, nie będzie tak źle — uspakajała karczmarka — zmęczona jest podróżą. Wyśpi się, to będzie jej lepiej, będzie zdrowa jak ryba. Poświecę wam do waszego pokoju.

— Tak jest, dobrze będzie jak się położę — rzekła Zuzia.

Gospodyni zaświeciła świecę i poprowadziła ją do pokoju gościnnego.

Zuzia rozebrała się zaraz, prezentując się przed gospodynią elegancką bielizną.



Dymiący Wezuwiusz...

Wypytywała gospodynię o rozmaite rzeczy, jak gdyby jej nigdy nic nie brakowało.

Dopiero, gdy mąż jej wszedł, znowu skrzywiła się mówiąc:

— Znowu mię tak okropnie zakłuło, że myślałam, iż zginę.

— Przeziębiła się — objaśniała rudemu gospodyni — zgotuję jej gorącego rumianku.

Myśl ta nie bardzo uśmiechała się Zuzi, rzekła więc prędko:

— Nie, nie chcę! Przykryję się dobrze, to mi będzie lepiej.

I nakryła się aż na głowę.

— Śpij zdrowa, żonko — rzekł rudy nadzwyczaj czule.

O, gdyby był przeczuwał, że ona go haniebnie zdradziła.

Lecz on był daleki od tego, siadł przy jej łóżku i dopiero, gdy regularny jej oddech dał mu pewność, że zasnęła, poszedł spać.

Długi czas nie mógł usnąć, aż wreszcie Morfeusz zlitował się nad nim i zabrał go z sobą w krainę marzeń i snów.

Śniło mu się, że pasł piękne, białe jagniątko na ugorach, a naprzeciw tego ugoru widział pole, zasiane koniczyną, na której wypasało się całe stado owiec, pod opieką pasterza.

Pasterzem zaś był sam baron Sturmfeder.

Lecz jakże się zdziwił, gdy baron usunąwszy się na ugor, zwabił do siebie jedyne jego jagniątko, a piękne zwierzę poszło za nim chętnie, nie spojrzawszy nawet na swego pana.

— To boli — powiedział głośno przez sen, a dźwięk własnego głosu obudził go.

Słońce świeciło już jasno.

Mayer wstał, ubrał się prędko i cichutko, aby żony swej nie zbudzić, wysunął się z pokoju i poszedł do zamku.

Przyszedłszy tam, spytał się o barona.

Powiedziano mu, że jaśnie pan śpi jeszcze i że dobra chwila minie zanim się zbudzi.

Służący zaprosił dawnego swego kolegę na śniadanie.

Mayer przyjął wprawdzie zaproszenie, ale nie miał apetytu i musiał się formalnie zmuszać, aby przełknąć jeden kęs.

Z największą niecierpliwością oczekiwał obudzenia się barona, który nareszcie zadzwonił na swego kamerdynera.

— Teraz potrwa to jeszcze chwilę, zanim się będzie można do niego zgłosić — objaśnił Edward — baron ubiera się dłużej niż kobieta. Później spożywa śniadanie, a po śniadaniu dopiero przyjmuje.

Mayer chodził wielkimi krokami po pokoju.

— Gdyby się tego już pozbyć — mruczał od czasu do czasu. — Prosił Edwarda, żeby mu wyjednał jak najrychlejsze posłuchanie u barona i ten obiecał zrobić mu to.

Godzinę jeszcze czekał i po godzinie dopiero Edward zameldował niecierpliwemu rudemu, że baron kazał mu przyjść.

Józef zrobił kwaśną minę.

— Aj, to dopiero — śmiała się klucznica — tak mu było spieszno do barona, a teraz idzie z miną, jak na szubienicę.

— Z tak wielkimi panami — odpowiedział Mayer, skrobiąc się w głowę — człowiek nigdy nie wie, co ma mówić.

— Trzeba było posłać Zuzię, ona by już wiedziała jak mówić — śmiała się Julka.

— Pan baron byłby ją także wolał niż ciebie — dodał jakiś lokaj.

Mayer niechętnie słuchał tych dowcipów.

— Głupiś — odrzucił dowcipnisiowi i poszedł za Edwardem.

— Proszę pana barona, jest dawniejszy stangret — zameldował go Edward.

— Czego chcecie? — spytał baron szorstko.

— Przepraszam pana barona — wyjąknął Mayer — co mam panu baronowi powiedzieć, tego nikt nie potrzebuje słyszeć.

Baron w poczuciu winy spuścił oczy i pomyślał w duchu:

Ten niedźwiedź jest mężem owej kobiety i chce mnie pociągnąć do odpowiedzialności.

Pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Ja nie mam żadnych tajemnic — rzekł baron niepewnym głosem — co się mnie tyczy, może każdy słyszeć.

— Ale ja mam tajemnicę — odpowiedział Mayer ponuro — i ze względu na pamięć zmarłego pana hrabiego, nie byłoby panu baronowi pożądanym, żebym to całemu światu wypaplał.

— A cóż to ma ze zmarłym panem hrabią wspólnego — spytał trochę uspokojony.

— Niby że mną, co ma wspólnego — nie rozumiał Mayer — bardzo wiele, bo jaśnie pan hrabia, nieboszczyk, dawał mi rozkazy, które ja wypełniałem.

Baron uspokoił się zupełnie, że Mayer nic a nic nie wie o żonie.

Dał więc znak Edwardowi, żeby poszedł i Edward posłusznie oddalił się.

— Gadajcie teraz — rzekł do stangreta — cóż to za tajemnica?

— Przepraszam jaśnie pana barona — szepnął Mayer — ja pomagałem młodego pana hrabiego zanieść do piwnicy.

Baron zatoczył się na te słowa, jak gdyby go ktoś uderzył obuchem w głowę. Przyszła mu myśl, że ten człowiek może wie o wszystkiem, i na tę myśl, krew ścięła mu się w żyłach. Ale natychmiast odzyskał równowagę i rzekł:

— A cóż to ja mam z tem wspólnego?

Mayer miął w ręku kapelusz.

— Ha — rzekł wreszcie ochrypłym głosem — cała ta sprawa, to moje nieszczęście. Nie wyszły mi na zdrowie te tysiąc reńskich, które mi dał jaśnie pan hrabia nieboszczyk. Żona moja, Zuzia, straciła ochotę do uczciwej pracy i tyko chciałaby się stroić i bawić.

Pieniądze się rozeszły, domu nie mamy, służby nie mamy, także i mnie się zdaje, że pan baron za to mnie powinien wynagrodzić.

— A mnie się zdaje — rzekł baron — że wuj nieboszczyk za tę małą usługę zapłacił wam aż nadto dobrze.

— Inni mogą inaczej myśleć — rzekł Mayer groźnie.

Baron był tchórzem i groźna mina rudego zaniepokoiła go.

— Więc czego żądacie? — spytał — krótko mówiąc.

— Dwa tysiące reńskich, to będzie za mało. Słyszałem, że tamta ziemia za morzem nie taka jest tania, jak na tej kartce było napisane.

— Chcecie wyemigrować? — spytał baron i kamień spadł mu z serca — do Ameryki?

Był to jedyny sposób pozbycia się tego niebezpiecznego człowieka dla barona.

Mayer mógłby się przecież zejść z Sylwią i wygadać się. Musiał więc go baron albo zamordować, albo wysłać za morze.

Ciąg dalszy na str. 53.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

„JESTEM ZADOWOLONY, Ale CHCIAŁBYM BYĆ I SZCZĘŚLIWY"...

„Piciątko". „Jestem zadowolony, ale chciałbym być i szczęśliwy — pisze w swym liście „Piciątko" — mam wszystko, czego mi potrzeba brak mi tylko osoby kochającej, oddanej mi na śmierć i życie. Czy znajdę ją — to moje szczęście wyśnione?

A teraz: Hallo! Która z wesołych sztubaczek nawiąże ze mną kontakt, celem szczerej i beztroskiej wymiany myśli?

„Dumkę", „Charitas" i „Smutną Hankę" proszę o przesłanie mi chociażby paru słówek!"

PISZCIE DO MNIE, A ZROBICIE MI WIELKĄ PRZYJEMNOŚĆ!

„Ciemnooka Ira". Powieść „Nienawiść a miłość", pociągnie się jeszcze przez kilka miesięcy. Życzę Pani powodzenia w korespondencji i niżej przedrukowuję część listu Pani:

„Życie moje płynie jednostajnie. Odczuwam silnie brak odpowiedniego towarzystwa, dlatego apeluję do Was, Drodzy Sympatycy, o listy. Piszcie do mnie, a zrobicie mi wielką przyjemność.

Jestem wysoką, ciemną blondynkę, trochę marzycielką. Lubię czytać książki, zwłaszcza poezje.

Może napisze do mnie „Ny - czar"?

Pozdrawiam jak najserdeczniej „Blankę", „Kresowiankę" i „Bijące Serce". Słowa uznania ślę dla tych, którzy piszą w „Krainie" śliczne wierszyki".

NIECH ODEJDZIE SMUTEK I REZYGNACJA...

„Smutna Kazieńka". Chciałabym, aby „Moje Powieści" były zawsze dla Pani ukojeniem i miłą rozrywką, poza tym, aby uśmiechnęło się do Pani kiedyś radośniej życie i przyniosło nareszcie wyzwolenie z wszystkich utrapień i smutków. Jest w Pani tyle rezygnacji — niechby i ona odeszła od Pani i nie wróciła więcej, bo nic gorszego nie ma nad to, gdy młody człowiek rezygnuje z życia i jego uroków.

Na zakończenie odpowiedzi zamieszczam część Pani listu:

„Ryśka D."! Dziękuję Ci, Miła Dziewczynko, za pozdrowienia i odwzajemniam je w pełni.

„Antygona"! Wyrażam Pani uznanie za bardzo rzeczowy list dyskusyjny, podzielam Pani zdanie. Przyjm ode mnie moc pozdrowień!

Dla „Ikara III." — moc pozdrowień!

Osobne pozdrowienia ślę p. Woźnemu z Głogówca".

POZDROWIENIE Z ŚLĄSKIEJ ZIEMI

„Maryśka" i „Stenia". Witajcie, Kochane Dziewczynki, po tak długiej przerwie w korespondencji! Nie zapomniałam jeszcze o Was, jak myślicie — przeciwnie pamiętam doskonale i pragnęłabym ogromnie zobaczyć Was, Miłe Śmieszki, na fotografii. Czy znajdzie się dla mnie jakaś?

Dopisek z pozdrowieniami zamieszczam:

„Przesyłamy z śląskiej ziemi serdeczne pozdrowienia: „Leśniczance z pod Jarocina", „Sztubaczce" „Zawiedzionemu", „Erosowi", „Wikonowi", „Ramzesowi" i „Natanowi".

CZY WYSTARCZY?

„Stach z pod Żnina", wielki miłośnik „Moich Powieści" i wielbiciel „Krainy", pisze:

„Pragnąłbym i ja nawiązać korespondencję skimś miłym i szczerym. Posiadam życzliwe serce i młodość. Czy to wystarczy, aby napisać do mnie z całym zaufaniem list? — chyba tak!"

PROSZĘ O ADRES!

„Słodka Danuś" ma w redakcji list — proszę o adres!



„Wędrowało sobie słonko uśmiechnięte, jasne, złote"... nasza **„Iga Czarnobrewa".**

WARTOŚCIOWA I INTERESUJĄCA KORESPONDENCJA

„Kwiat Paproci II". Uwagi Pani, co do drukowanych ostatnio powieści, są jak najsłuszniejsze, — nie zapomnę o nich w przyszłości i zrobię wszystko, co będzie w mej mocy, aby Pani i tylu innych Czytelników, było naprawdę zadowolonych.

Wzruszyły mnie życzenia Pani — stokrotnie dziękuję!

A teraz apeluję w imieniu Pani do osób, którym zależy na wartościowej i interesującej korespondencji, aby napisały do Pani. Pozdrawiam również w imieniu Pani: „Terenię z Szlacheckiego Dworku", „Białą Uajali", „Jadźkę z Kujaw", „Powój", Stęsknioną Alinkę", „Igę Czarnobrewę", „Starą Pannę", „Cisa", „Miłego Szatyna", „Lawrence'a", „Tricotrin'a", „Er. - zet", P. A. K. z B. i „Bijące Serce".

„CHCIAŁABYM I JA TROCHĘ RADOŚCI I SŁOŃCA"...

„Dumna". Liścik Pani napewno zachęci kogoś do nawiązania z Panią bliższego kontaktu. Jest taki miły, a poza tym mówi nam, że źle jest Pani, obco, i że pragnie Pani ogromnie jakiejś zmiany na lepsze.

„Już kilkakrotnie brałam pióro do ręki, chcąc prosić o przyjęcie do „Krainy". Dzisiaj zdobyłam się jednak na odwagę i piszę, z nadzieją, że w „Krainie" znajdę odrobinę rozrywki i zapomnienia o szarym życiu codziennym.

Jestem sierotą, oddaną na wychowanie do krewnych. Własnym staraniem i przy pomocy rodzeństwa, ukończyłam szkołę średnią i obecnie pracuję w miejscowym urzędzie pocztowym. Jestem Polką, ale znajduję się wśród niemieckiego otoczenia, dlatego pragnę poznać w „Krainie kogoś dobrego, któryby odpłacał mi szczerością za szczerość. W „Krainie" tryska tyle radości i słońca, chciałabym więc i ja odrobinę tego skosztować. Jestem 22-letnią blondynką, jak mówią, dumną i interesującą".

WYJAŚNIENIE I UWAGA

„Samotny Tulipan". Wierszy Pana nie umieszczamy z tej prostej przyczyny, że nie są one samodzielnymi utworami Pana. Radzę Panu wystrzegać się plagiatów, gdyż inaczej narazi się Pan na duże nieprzyjemności, czy to ze strony krytyków, czy też ze strony samego autora utworu, który podpisuje Pan swojem nazwiskiem. Z nadzieją, że uwagi moje przyjmie Pan życzliwie, przesyłam Panu pozdrowienia i dziękuję za miłe życzenia świąteczne.

GDYBYŚ WIEDZIAŁ...

Ukochanemu poświęcam.

Gdybyś wiedział, ty kochany,
Ty jedyny mój,
Że w swym sercu nieustannie
Noszę obraz twój...

Gdybyś wiedział, ty jedyny,
Gdybyś wiedział ty,
Jak ja cierpię z twej przyczyny,
Jak me serce drży...

„Ira".

WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO!

„Blanka". „Radosny uśmiech" — odebrałam! Życzę w Nowym Roku, przemiłej „Blance", wszystkiego najlepszego i przepraszam za nieco opóźnione życzenia.

MYŚLĘ...

„Kameleon II." ...„jeżeli tak, to znam Panią". — Słowa te zaintrygowały mnie bardzo. Myślę, że wytłumaczy mi je Pani szerzej i to już w następnym liście?

Przyjaźń Pani przyjmuję wdzięcznym sercem i podchodzę do Pani z szczerym życzeniem, aby korespondencja nasza przyniosła obustronne, pełne zadowolenie.

Bardzo miły list Pani zamieszczam niżej:

„Czuję, że szczera wymiana myśli z przyjaciółmi „Krainy" przyniesie mi dużo zadowolenia, dlatego wnoszę prośbę o listy i utartym zwyczajem przedstawiam się:

Jestem wysmukłą ciemną blondynką, średniego wzrostu, o oczach zmiennych, jak kameleon i bujnych lokach.

Nie jestem piękną, ale mówią, że mam w sobie coś, co ujmuje.

Pragnę poznać w „Krainie" kogoś naprawdę wartościowego, gdyż nie chodzi mi tylko o bezsensowną korespondencję, ale o skojarzenie dusz i serc.

Może napisze do mnie „Cis"? — zainteresował mnie bardzo!"

DZIĘKUJĘ ZA PAMIĘĆ!

„Te - Em". List przedświąteczny, — odebrałam. Dziękuję Panu za pamięć i za życzenia. Czy dowiem się szybko, jak spędził Pan święta i Sylwestra, o którym tak miło rozpisuje się Pan w liście?

A teraz głos oddaję Panu:

„Milutkiej „Duśce" przesyłam jak najszczersze pozdrowienia wraz z życzeniami szczęśliwego Nowego Roku. Niech rok 1937 będzie dla Pani conajmniej w stu procentach lepszy, niż ubiegły!

„M. Rysi" ślę także pozdrowienia i zapytanie dlaczego na moje listy nie otrzymałem odpowiedzi?

Hallo! „Li z nad Olzy", zasyłam życzenia świąteczne!

Moc pozdrowień ślę również „Dumce", „Verte", „Wesołemu Słowikowi" i „Wilkowi Morskiemu".

„CO ROBIĆ DALEJ?"

„Smutny Stef". „Co robić dalej?" Znaleźć sobie przedewszystkiem krąg zainteresowań, Drogi Panie i to zainteresowań takich, któreby zaabsorbowały myśli i zaprzątnęły je tak, aby już nie starczyło miejsca na tęsknoty i przykre wspomnienia. Przypuszczam, że jednym z punktów przyszłych zainteresowań Pana stanie się żywa wymiana myśli z osobami o pogodnym nastawieniu, dlatego też jak najchętniej oddaję do przedruku apel Pana:

„Hallo! Tu „Smutny Stef"! Wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy" zasyłam pozdrowienia i uściski dłoni.

„Zula"! Nie gniewaj się, że tak długo nie piszę, odpowiedź wyślę napewno! Pozdrowienie dla siostry!

„Smutna Sztubaczko"! Pozdrowienia odwzajemniam — napewno napiszę.

„Smutny Sztubaku" i „Sztubaku z pod lasu" może napiszecie do mnie?"

UŚMIECHNIJ SIĘ!

„Basia“. W odpowiedzi na Twój liścik, „Basiu“, przesyłam Ci moc siostrzanych uścisków i:

...Uśmiechnij się,
obetrzyj łzy,
wesoło patrz, wesoło!

Uśmiechnij się
i zbądź się trwóg,
niech szczęsne dni się gonią!

Uśmiechnij się
i troskę zrzuć,
rozpogódź chmurne czoło!

Uśmiechnij się!
Radości wróć!
Wesoło patrz, wesoło!...

(J. K.)

(Dopisek z listu „Basi“:)

„Bajce“ zasyłam serdeczny uścisk dłoni.

„Przedwiośniu“ dziękuję za pozdrowienia, które w równej mierze odwzajemniam.

„Aloho, może znamy się, pochodzę również z Grudziądza?

„Te - Em“, chętnie nawiążę z Tobą korespondencję. Przyjmij ode mnie serdeczny uścisk dłoni!“

...A TERAZ BOJĘ SIĘ...

„Iga Czarnobrewa“. Już paluszków do liczenia nie starczyło, prawda? No, ale wreszcie.... Fotografia śliczna, nie mogłam oprzeć się pokusie, aby jej nie umieścić, a teraz boję się, że „Iga“ będzie się gniewała, mocno, jak tylko potrafi. A może daruje mi tę samowolę, co? Z niecierpliwością oczekuję jakiegoś znaku.

Za wzruszającą pamięć dziękuję z całego serca i umieszczam niżej tę część liściku Pani, która nie należy do mnie:

„Takie małe Coś z loczkami“! Pozdrawiam Cię serdecznie i podaję do wiadomości, że mam szaloną ochotę pogawędzić z Tobą listownie.

„Maleńkiej Dzidzi“ ślę moc serdecznych myśli

„An - ka“, nie, pisałam, bo nie znam obecnego adresu. Pozdrawiam!

„Lakoniczkowi“ ślę uścisk dłoni, „Oryginałowi“ dużo, bardzo dużo pozdrowień“.

WYSŁAŁAM

„Cyganka o smętnych oczach“. List wysłałam. Ślę moc pozdrowień!

CZY NAPISZE PANI SZYBKO?

„Owambo“. „Przerażenie“ Pani chyba już minęło, a jeżeli nie, to napewno minie teraz, po moim zapewnieniu, że chociaż po apelu „Erosa“ wpłynęło tyle listów, to jednak i dla Pani starczy w „Krainie“ miejsca na odpowiedź. Czy zachęcona tym napisze Pani szybko?

NA POSTE - RESTANTE

„Marteczka“ pragnie nawiązać korespondencję, ale prosi kierować listy nie do „Krainy“, ale na następujący adres: „poste — restante, Więcbork (Pom.) dla „Marteczki“.

„Marteczka“ jest młodą, muzykalną osóbką o ciemnej główce (mowa o włosach!) i błękitnych oczętach. Portret nadzwyczaj miły, więc niewątpliwie zainteresuje szerszy ogół Sympatyków, prawda?

„CZY ZACHĘCI?“

„Pat“ i „Patachon“, ale nie ci komiczni bohaterzy z ekranu filmowego, ale dwaj młodzieńcy z dalekiego Pomorza, wnoszą w „Krainie“ następujący apel:

„Hallo! hallo! Tu „Pat“ i „Patachon“! Kto z Sympatyczek lub Sympatyków, czuje się smutnym, niech napisze do nas natychmiast, a wyleczymy go z cierpiętnictwa pod gwarancją. Posiadamy na składzie: „bomby humoru“, „granaty śmiechu“ i wagony beztroskich kawałów“ — czy to zachęci kogoś do skreślenia paru słów do beztroskich, pomorskich wesołków?“



Uśmiech na ustach i pogoda w sercu! — oto hasło **„Velgi“.**

NIE ZAPOMNIAŁAM

„Jasnowłosa Cyra“. O moich Sympatykach nie zapominam nigdy, a więc i o Pani nie zapomniałam. Witam Panią otwartym sercem i równocześnie wyrażam życzenie, aby kontakt nasz był odtąd ściślejszy i serdeczniejszy. Czy postara się Pani o to? Ucieszę się, jeżeli tak!

Z niecierpliwością oczekuję nowych wiadomości od Pani, a tymczasem pozdrawiam w imieniu Pani — „Jenny“, „Roześmianą Lu“ i „Narcyza“.

CZEKAM CIERPLIWIE DALEJ

„Armida“. W chwili, gdy piszę te słowa nie mam jeszcze absolutnie żadnych wiadomości od Pani — widocznie Zakopane tak dalece absorbuje Panią, że brak zupełnie czasu na korespondencję? Czekam cierpliwie dalej — i na list z przebogatymi wrażeniami i na przyobiecane fotografie!

PISZ JAK NAJCZĘŚCIEJ!

„Przedwiośnie“. Dziękuję za ten kochany liścik, podyktowany czułym, dobrym serduszkiem. Jest mi bardzo miło, że darzysz mnie, Kochanie, tak żywą sympatią, ale czuję, że nie zasłużyłam, aż na tak wielką. Pisz jak najczęściej, moja Dobra Dziewczynko i przyjmij ode mnie szczery uścisk dłoni.

ZAMIESZCZĘ W NAJBLIŻSZYM NUMERZE

„Smutna Wandeczka“. Fotografię Pani zamieszczę w jednym z najbliższych numerów „Moich Powieści“. Dzisiaj zaś przedrukowuję tylko krótki wyjątek z listu Pani i jak najserdeczniej pozdrawiam Panią.

„Pomimo kilkakrotnego apelu nie otrzymałam dotychczas żadnego listu, ale myślę, że wreszcie doczekam się.

Na zakończenie dziękuję serdecznie za pozdrowienia „Czarnobrewej Idze“, „Wesołemu Toruniakowi“, „Tam - Ryszardowi“, „Mikusiowi z Osieka“ i „Cisowi“.

GDY BĘDZIE CI BARDZO ŹLE...

„Boluś“. Powierzone mi przez Panią myśli zasmuciły mnie. Chciałabym przesłać Pani moc słów pocieszenia, ale boję się, że wypadną one banalnie, blado. Czasem nawet pociecha nie przyda się na nic, a szczególnie wtedy, gdy ból jest silny i tępy. „Boluś“ moja, przyjmij więc tylko ode mnie siostrzany uścisk dłoni i pamiętaj zawsze o mnie, gdy będzie Ci bardzo źle. Pisz wtedy szczerze, obszernie, z tą świadomością, że piszesz do osoby życzliwej i oddanej Ci. Króciutki dopisek zamieszczam:

„Hallo! „Gorczyco“! Czy życie dla Ciebie tak gorzkie, jak pseudonim? Jeśli tak, podaj mi przyjaźnie dłoń, na znak zbratania dwóch smutnych dusz“.

„CZY WOLNO NAPISAĆ?“

„Babinicz“. Marzenia Pana już się spełniły, prawda? Dzisiaj byłby zbyteczny apel Pana — czuję to i dlatego oddaję do przedruku tylko krótki wyjątek z Pańskiego listu:

„Takie małe Coś z loczkami“! Czy wolno napisać? Na fotografii bardzo pięknie wypadły loczki, ale buzia daleko piękniej.

„Leśniczanka z pod Jarocina“! Chciałbym bardzo z Panią listownie pogawędzić — kocham również las i wodę“.

Teczka Wujka Janusza

CZEKAM

„Maleńka Dzidzi“. Wzruszające życzenia noworoczne odebrałem — dziękuję! — i życzę, Kochanej, „Maleńkiej Dzidzi“, aby wszystkie tęsknoty, które drżą w małym serduszku, rozwiały się bez śladu, aby było lepiej, radośniej! Całuję drogie łapki, które napisały mi tyle szczerych słów i czekam na list, z którego dowiem się, jak „Maleńka Dzidzi“ z swoją miłą Siostrzyczką, spędziły święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.

WIERSZE UKAŻĄ SIĘ WKRÓTCE!

„Iwola“. Wiersz — „W jesieni“ — wypadł po poprawce bardzo miło. Odłożyłem go do teczki, gdzie poczeka do następnej jesieni. Wierszyk: „Śnieg już pokrył“... i „Gdy serce zaboli...“ — ukażą się wkrótce!

Serdecznie pozdrawiam i cierpliwie czekam na nowe wiadomości i „owoce natchnień“!

(Dopisek z listu „Iwoli“:)

„Mała Konwalijko“, jesteś przemiła i taka dobra. Dziękuję Ci serdecznie za słowa otuchy i odwzajemniam pozdrowienia. Odezwij się znowu kiedyś!

Dużo serdeczności przesyłam Zosi Dutkiewiczównie... czy pamięta jeszcze „Iwolę“?

GDY SERCE ZABOLI...

Poświęcam — „Nie biednej“.

Gdy serce zaboli
I radość przeminie,
Tak dobrze o zmroku
Iść w baśni krainę.

Gdy burza nad nami
Szaleje w noc ciemną,
Tak dobrze jest wtedy
W dal posłać myśl biedną.

Tak dobrze pomyśleć,
Choć burza przeminie,
Że serce — kochane
Daleko gdzieś bije —

I brata się z nami
Na skrzydłach tęsknoty...
Śni bajkę o szczęściu —
Lub może sen złoty...

„Iwola“.

ZAMIESZCZĘ CHĘTNIE

P. J. K. z P. Ocenę wierszy oraz wszelkich rękopisów literackich, wydaję tylko w „Teczce“, nigdy zaś listownie.

Wiersze Pana zamieszczę bardzo chętnie, ale po uprzedniem zawiadomieniu mnie, że tworząc je nie wzorował się Pan na innych utworach. Czekam zatym i ślę Panu uścisk dłoni.

DO DRUKU ZA SŁABY!

„Telimena“. Wierszyk — „Natura mnie chowała...“ — jest za słaby do druku. Jaki los spotkał drugi wierszyk, dowiedziała się już Pani, prawda? Miłe pozdrowienia odwzajemniam uściskiem dłoni!

BRAK WARTOŚCI LITERACKIEJ

P. W. W. z M. Nadesłane przez Pana wiersze posiadają bardzo miłe akcenty, ale daleko im do pełnej wartości literackiej. Radzę Panu dużo pracować nad sobą: pisać, studiować różnego rodzaju poezje, a może wkońcu — „będzie z tej mąki chleb“.

WIERSZ NADSZEDŁ ZA PÓŹNO

P. J. P. z P. Wiersz — „Pokłon Trzech Króli“ — otrzymałem trochę za późno. Odłożyłem go do „Teczki“, aby skorzystać z niego na przyszły rok.

Raj kobiet



M 22026 M 22024

M 22 026 Nowością przy tym sportowym płaszczu jest imitacja bolerka. Na kołnierzu — zamiast futra — stebnowania.

M 22 024 Płaszcz z wełny bouché z kołnierzem z karakułów. Niezwykle oryginalna linja ramion i rękawów z tyłu.

Kroje powyższe (Beyera) nabyć można w naszej administracji za poprzedniem nadesłaniem 2,00 zł przez P. K. O. nr. 209.062.

Rozwody zawsze istniały!

Historia rozwodu jest zawsze ciekawa. W Atenach już na 600 lat przed Chrystusem prawodawstwo Solona nadało zarówno mężczyźnie jak i kobiecie, możność rozejścia się w wypadkach ściśle określonych. Wtedy to powstał rozwód.

Z Grecji przedostał się do Rzymu, gdyż greckie zasady prawa posłużyły z czasem za podstawę prawu słynnych Dwunastu Tablic. Przedtem jednak w Rzymie od czasu jego powstania, t. j. wciągu pięciuset dwudziestu trzech lat nie było ani jednego rozwodu.

Pierwszy na podstawie zasad prawa przywiezionego z Aten, rozwiódł się Spuryusz Cavilius Ruga.

Później rozwody stały się bardzo pospolite. W ostatnich latach istnienia państwa rzymskiego kobiety zaczęły z prawa rozwodu korzystać tak często, że według słów Seneki, niektóre z nich mogły rachować swe lata nie według liczby konsulatów, lecz mężów, których porzuciły.

W cesarstwie bizantyjskim utrzymała się w sile forma rozwodu na mocy obopólnej zgody małżonków.

Rozwód w średniowieczu był również zjawiskiem powszechnym, aż do czasu znanego stanowiska Soboru Trydenckiego, który orzekł, że każdy, kto, zażąda lub otrzyma rozwód, będzie wyklęty.

Ograniczając prawa o rozwodach, Sobór Trydencki sądził, że wpłynie tem na uszlachetnienie instytucji małżeńskiej — tymczasem rezultat okazał się wręcz przeciwny, zwłaszcza we Francji.

Liczba złych małżeństw wzmogła się tam jeszcze bardziej, a wzajemna uraza i nienawiść małżonków niejednokrotnie zaczęły się uciekać do zbrodni.

Rodzina jęła ulegać kompletnej destrukcji. Po wielokrotnych przemianach, w których prawodawstwo francuskie wchodziło w coraz częstszą sprzeczność z prawem kanonicznym, konstytucja rewolucyjnej Francji w r. 1792 wznowiła rozwody, usuwając je z pod kompetencji władzy duchownej i tym samym przekreślając postanowienia Soboru Trydenckiego.

Łatwość w otrzymaniu rozwodu, spowodowała jednak tak liczne nadużycia, że rezultaty tych nowych postanowień przeraziły nawet samych twórców prawa rozwodowego. Albowiem, kiedy nie było rozwodów, życie rodziny trawiła gorączka destrukcji, teraz znów, kiedy rozwód został wprowadzony, zło nie ustało, tylko w innej postaci trawi rodzinę.

Dało to podstawę do twierdzenia, że ani zakazy rozwodowe, ani wolne rozwody nie są w stanie wpłynąć dodatnio na małżeństwo, o ile powstaje ono wśród anormalnych i aspołecznych warunków życiowych.

To twierdzenie zkolei uzupełniono innym: Należy utrudnić rozwód, czyniąc go możliwym tylko w szczególnej wagi wypadkach.

Ten punkt widzenia prawodawstwa francuskiego zczasem przyjęła większość cywilizowanych państw. W takiej też formie istnieje on po dziś dzień w większości państw europejskich, nie biorąc pod uwagę Rosji Sowieckiej, gdzie prawo zawodowe przyjęło formy zbyt rewolucyjne.

W Polsce katolickiej obowiązuje nadal uchwała Soboru Trydenckiego.

Co jest powodem nudy w małżeństwie?

Zagadnieniu temu poświęcił szereg interesujących uwag znakomity pisarz francuski, André Murois. Najistotniejszy powód widzi on w tym że ludzie dotychczas nie nauczyli się traktować małżeństwa poważnie. Narzeczeni opierają przewidywania swego szczęśliwego pożycia na wszystkiem: na kalkulacji, upodobaniach, opinji osób trzecich, na pozorach wreszcie, ale najmniej zwracają uwagi na różnicę swych charakterów i zainteresowań.

Niektórzy zwracają uwagę tylko na powierzchowność, inni na pieniądze. Ale piękność i pieniądze mogą przeminąć, podczas gdy egoistyczny charakter, przykre usposobienie, lekkomyślny pogląd na życie, brak taktu, nerwowość — pozostają, czyniąc pożycie niemożliwem.

Często wzajemne zobojętnienie małżonków, bywa skutkiem beztroskiej szczodrobliwości w pierwszym okresie pożycia: zbytnie szafowanie wypowiadaniem wszystkich swych myśli i poglądów, wymiana wspomnień i zwierzeń i oto nagle stwierdzają, że już właściwie nie mają sobie nic do powiedzenia.

Wśród inflacji słów, zdewaluowało się uczucie.

DOBRA GOSPODYNI

Wódka cytrynowa lub pomarańczowa. Okroić cieniutko skórkę z trzech cytryn lub pomarańcz, zalać ją 1 litrem spirytusu i trzymać przez 4 dni w ciepłym pokoju. Zrobić syrop z pół kg cukru i pół litra wody, wyszumować i w gorący zlać spirytus bez skórek, zmieszać dobrze, aby się cukier rozpuścił, przestudzić, przefiltrować i zlać w butelki.

Legumina pomarańczowa. 4 żółtka rozetrzeć z 4 łyżkami miałkiego cukru, wlać 6 listków rozpuszczonej żelatyny, wymieszać z ubitemi na sztywną pianę białkami i sokiem z jednej cytryny. Na szklanej salaterce ułożlyć ćwiartki pomarańczy i zalać je przyrządzonym kremem. Ostudzić na lodzie lub w wodzie zimnej.

Kompot z pomarańcz surowych. Obrać 6 pomarańcz, pokrajać je w cienkie plasterki, a odrzuciwszy pestki, ułożyć na salaterce, posypać cukrem i polać likierem maraskino lub abricotine. Zamiast cukru można użyć jakiegoś soku owocowego, wtedy likier zbyteczny.

Kompot ze skórek pomarańczowych. Skórki pomarańczowe i cytrynowe wymoczyć w wodzie naprzód przez 12 do 24 godzin, utrzeć z cukrem, jabłkami, jagodami, sokiem cytrynowym, rodzynkami i dokładnie wymieszać. Woda, w której skórki mokły, jest bardzo gorzka i można jej tylko bardzo mało do kompotu dodać.

Świat i życie

Sztuka ludowa Rumunii

Pasący bydło na rozległych zielonych łąkach, pasterz rumuński jest nielada artystą w obrabianiu drzewa. Z jego zdolnych, pracowitych rąk wychodzą skończone arcydzieła — drewniane naczynia i kubki ozdobione ślicznymi, subtelnymi ornamentami.

Do przedmiotów, najbardziej rozpowszechnionych w sztuce pasterskiej trzeba zaliczyć bogato zdobioną kądziel. Najrozmaitsze połączenia delikatnych linij, wycinanych nożem, znamionują pogodę duszy u tych samotników, u których dzień po dniu następuje z monotonną, ale wspaniałą regularnością.

W wycinaniu na drzewie Rumun stosuje tylko ornamenty geometryczne, ostro kontrastujące z wzorami kwiatów snycerstwa węgierskiego i saksońskiego.

Również i ludowa sztuka garncarska stoi na wysokim artystycznym poziomie w Rumunii. Do dnia dzisiejszego niema ciągle jeszcze fabryki wiejskich naczyń glinianych. Całe zapotrzebowanie pokrywają wiejscy garncarze; przywożą towar na wielkich wozach, aż do najdalej położonej okolicy. Garncarze, podobnie jak pasterze, wycinający ornamenty na naczyniach drewnianych nie są właściwie artystami z powołania; zajmują się swoją sztuką tylko w tych porach roku, kiedy pozwala im na to zajęcie w polu.

Sztuka tkacka podlega całkowicie wieśniaczce: bielizna, ubranie, kilimy są dziełem artystycznej ręki gospodyni, której punktem honoru jest nie kupować nic poza domem. To też kobieta rumuńska wstaje wtedy tylko od kądzieli, kiedy wymagają tego zajęcia domowe. Sztuka tkania musi być prastarą co do pochodzenia. Mówią o tym skomplikowane, a tak harmonijne zestawienia wzorów rumuńskich dywanów i odzienia. W Banacie, częściowo także i w Mutenii natrafia się na haftowane wyroby tkackie, przypominające arcydzieła Inkasów i Koptów

Barwne obicia wieśniacze nie są właściwie dywanami na podłogi, wiesza się je raczej, jako ozdoby na pobielone wapnem ściany, albo kładzie się je na łóżka i na ławy.

Odzienie rumuńskiej wieśniaczki z tkanin zestawionych z takiem bogactwem harmonii i z haftami tak dystyngowanie wpadającymi w oko, zasługują w zupełności na to, aby je ocenić jako jedne z najpiękniejszych dzieł rumuńskiej sztuki ludowej.

Rumuńska wieśniaczka zna tylko jedno ubranie, jednakowe do pracy i na niedzielę do tańca i na uroczystości: koszula spadająca aż do kostek i jeden lub dwa fartuchy, w pasie przytrzymane paskiem; do tego sandałki, przezroczysty welon na głowie.

Rumuńskiej sztuce ludowej grozi jednak już dziś wymarcie. Podczas, gdy sztuka ludowa znajduje wstęp do miast, kraj zalewają natychmiast wyroby fabryczne. Wielki przemysł zabija indywidualną pracę artystyczną i żaden kraj na dłuższy przeciąg czasu nie ujdzie tej przykrej konsekwencji, jaką przynosi z sobą postęp.

Poparta starą, piękną tradycją, sztuka rumuńska będzie zaliczała się zawsze do ostatnich istniejących jeszcze pomników tego złotego wieku, kiedy nie były wytworem zamożności, ale jedynie wyrazem harmonii życiowej; wieśniak tworzył zwykle, użyteczne przedmioty, aby zaspokoić swe potrzeby i uciszyć tęsknotę do wiecznego piękna.

Ze świata

Nemrod indyjskich maharadżów

Mahradża Riwy (Revahu), państewka hołdowniczego w Indiach wschodnich, słynie wśród swych rodaków jako nieustraszony i zapamiętały myśliwy, którego żadne przeszkody nie są w stanie powstrzymać od niebezpiecznych wypraw w głąb najdzikszych zakątków dżungli. Częstokroć miano go już za straconego, tymczasem zawsze wychodził ze swych przygód myśliwskich zwycięsko, a niedawno osiągnął nawet, triumf nielada.

Oto przed laty maharadża założył się z jednym ze swych przyjaciół, że upoluje 500 tygrysów królewskich i zakład ten wygrał, upolowawszy pięćsetnego drapieżnika.

Wobec takiego rekordu otrzymał, oprócz licznych powinszowań, także tytuł Nemroda wśród maharadżów.

Wystarczy nam jeszcze węgla na 6.500 lat

Inżynierowie i technicy pracują stale nad wynalezieniem nowych źródeł energii w obawie, iż zapasy węgla wkrótce się wyczerpią. Na szczęście obawy te są płynne. Ostatnio dokonane obliczenia wykazały, że zapasy węgla kamiennego i brunatnego starczą na wiele tysięcy lat. Do głębokości 2.000 metrów pod ziemią znajduje się ogółem 520.000.000.000 ton węgla kamiennego oraz 1.150.000.000.000 ton węgla brunatnego. Ogółem zapasy wynoszą około 5.000.000.000.000, czyli pięć bilionów ton.

Roczna produkcja węgla kamiennego wynosi miliard ton, czyli, że węgla kamiennego starczy nam jeszcze na 5.000 lat. Węgla brunatnego wydobywa się rocznie 180 milionów ton, tak, że zapasy jego starczą na 6.500 lat. Niemniej jednak zapasy węgla wyczerpią się wkrótce w poszczególnych państwach. Najwięcej węgla jest w Europie. W Niemczech spodziewają się wyczerpania ich za 500 lat. Węgla brunatnego starczy w Niemczech zaledwie na 60 lat. Największe pokłady węgla znajdują się w Wielkiej Brytanii.

W wylęgarni olbrzymów i karłów

Węgierskiemu lekarzowi, drowi Selleiemu, powiodło się przez użycie oryginalnego środka chemicznego dowolnie doprowadzić wzrost roślin do olbrzymich rozmiarów, lub odwrotnie, nadawać tym roślinom rozmiary karłowate.

Dr. Sellei, będący specjalistą chorób skórnych, stwierdził podczas doświadczeń nad ich leczeniem, że przy traktowaniu pewnych chorób skórnych barwnikiem fluoryzującym, skóra chorego staje się nadzwyczaj czuła na promienie słoneczne, pod czego wpływem schorzenie jej ustępuje.

Lekarz wpadł wobec tego na pomysł doświadczenia, jaki wpływ wywarłby ten fluoryzujący barwnik na rośliny. Zaczął więc podlewać ziemię dokoła rośliny poddanej doświadczeniu roztworem owego barwnika, czyniąc przez to roślinę nadzwyczaj czułą na działanie promieni słonecznych. Skutek okazał się zadziwiający, roślina bowiem rozrastała się do rozmiarów olbrzymich, owocując przy tym kilkakrotnie. Stosując zaś w ten sam sposób skoncentrowany roztwór owego środka chemicznego, otrzymał na odwrót rośliny karłowate, będące jakby miniaturowymi wydaniami rośliny normalnej. Dr. Sellei nazwał — jak donoszą dzienniki budapeszteńskie — wynaleziony przez siebie płyn „Fotosensinen".

Zamknął się w domu dla obłąkanych

W Paryżu znana jest historia znanego pisarza Pawła Bourgeta, który zamknął się w domu dla umysłowo chorych, aby napisać powieść z życia... wariatów. Obecnie wielkie poruszenie wywołał fakt, że drugi znany pisarz Andrzej Balencon zamknął się również w zakładzie zdrowia dla szaleńców.

Balencon nie pisze jednak powieści z życia wariatów, ale fantastyczną powieść przyszłości. Zapytany o motywy swego postępowania, pisarz francuski oświadczył, iż przekonał się, że wariaci, którzy wygłaszają niestworzone rzeczy, mają wiele fantastycznych pomysłów. Dlatego też zresztą zamknięto ich w sanatoriach. Dla pisarza, który chce napisać fantastyczną powieść stanowią te wszystkie brednie wariatów kopalnię pomysłów, których dotychczas nikt jeszcze nie eksploatował.

Balencon od dwóch miesięcy przebywa w szpitalu dla umysłowo chorych i przysłuchuje się temu co mówią wariaci. Twierdzi on, że dotychczas szaleńcy dali mu wiele wspaniałych pomysłów do jego powieści.

Wyludnienie grozi stolicy nad modrym Dunajem

Obok wielu trosk mieszkańców Wiednia trapi ich najbardziej jedna: jest nią stałe zmniejszanie się liczby ludności stolicy nad modrym Dunajem. Według urzędowych danych statystycznych przeciętnie w ostatnich miesiącach ubywało około tysiąca osób, to znaczy, że liczba urodzin jest mniejsza od liczby zgonów o 1000. Bliższe zbadanie tych liczb wykazuje, że wśród małżeństw zawartych po roku 1924 więcej niż połowa jest bezdzietnych. W latach 1893 — 1903 przeciętnie 2,95 proc. małżeństw było bezdzietnych, podczas gdy w ostatnich latach powojennych odsetek ten wzrósł do 30 proc., a obecnie wynosi aż 53 proc. W związku z tym zarząd miejski rozpoczął ogromną propagandę za powiększeniem rodzin oraz pomaga dość znacznie materialnie tym rodzinom, które znajdują się w ciężkich warunkach.

CHWILA ZASTANOWIENIA

Rozsypanka sylabowa

ca — w — ju — ma — sie — chwil — — niż — je — w — ni — ka — łe — lep — jed — gru — sza — na — dnie.

Z poszczególnych sylab utworzyć myśl A. Mickiewicza.

Bilety wizytowe
pod. W. M. Łysinin.

Dr. A. O. Kret

T. Satyra

L. Ż Zegar

Odgadnąć zawód właścicieli biletów.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 22 stycznia, br.

Rozwiązanie zadań z nr. 1 „Moich Powieści": Przekładanka: 1. Pląga, 2. Praga, 3. Plama, 4. Płuca, 5. Pałac, 6. Flaga. Bilety wizytowe: Stenografistka, tenisistka, dziennikarka.

Trafne rozwiązanie zadań nadesłali pp.: Hal. Szalecka — Inowrocław, M. Kulcentowa — Fałkowo, Ignacy Piątek — Fabianowa, Wik. Wielicka — Bydgoszcz, Celina Kwaśniakówna — Jarocin, Andrzej Pietrzak — Kraków, Gab. Piotrowska — Horod, Adam Korzak — Nieśwież.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Wiktorii Wielickiej z Bydgoszczy i Andrzejowi Pietrzakowi z Krakowa.

Ucieczka z białego piekła

(Nowelka radiowa.)

Na przełęczy kołował, rzęził i szalał wiatr, podrzucając w górę kurzawę śnieżną wynosząc ją na olodzone szczyty. W dolinie podnosiły się tumany mgieł ociężałych i złowrogich. Cała odświętna białość, wyiskrzonych w słońcu gór z błękitnemi cieniami zmieniła się w zadymione białe piekło zionące zgubą.

Narciarz, parę metrów przed przełęczą począł iść na czworakach, opierając się całą siłą nawale wichru. Oczy piekły i bolały jak oparzone od wypatrywania i mrozu. Zlodowaciałe rzęsy kłuły i ciążyły.

— Niechże ich, cepry jedne — klął pocichu na towarzyszów — nie poszli ze mną, zlękli się! Ala ja im pokażę, jak się zdobywa góry.

W tej chwili poczuł nachylenie stoku, po przejściu przełęczy i pędząc puścił się w dół, bez kierunku oddając się na przypadek zwarjowanego „szusu". Zjazd był piekielny.

Nieprzytomny z obumarłą twarzą zatrzymał się w dolinie. Tutaj dopiero zmordowane, odprężone mięśnie pozwoliły na krótką myśl:

— Co dalej? Kurzawa... Wicher...

Z trudem podniósł głowę, granatowy śnieg padł na ściany gór. Było już późno. Rozejrzał się dokoła. Nie czuł bólu w mięśniach, ale ciało miał ciężkie, jak z ołowiu. Zdawało się, że nie zrobi ani kroku. Powoli, chytrze począł się ku niemu skradać od tych białych ścian śmiertelny strach.

Wtem krzesanice powtórzyły kilkakrotnie jakiś ludzki krzyk. Narciarz zdębiał. Człowiek. Wołanie o ratunek.

I znów krzyk przeleciał dolinę. Poderwało go. Począł iść w jego kierunku, upadając co chwila ze zmęczenia. Śnieg pchał mu się do ust i do krtani.

— Ju-huuu — krzyczało wołanie.

— Ju-huuu — odpowiedział i stanął jak wryty. Kto to?

Przed oczyma jego twarz przy twarzy wyrosło z mgły widmo człowieka. Przyglądał się niedowierzająco opuchniętemu obliczu tego drugiego.

— Wacek!

— Janek!

— Poszedłem za tobą, nie mogłem znieść, że cię zostawili samego.

Nagły grzmot przerwał ich rozmowę. Dolina zatrzęsła się, jakby szczyty runęły w nią poderwane diabelską siłą. Białe ściany leciały huraganem wdół.

— Lawina — domyślili się raczej obaj, niż powiedzieli. Nie było czasu. Ruszyli z miejsca bez znaku. Niewiadomo kiedy i jak dopadli schroniska. Prosty traf, że natknęli się na jego ściany. Odśrubowali drzwi.

Wnętrze chaty wydało im się przylądkiem „Dobrej Nadziei". Wiązki drzewa leżały przy kominie.

Kiedy już nasycili puste żołądki, nie czując nawet smaku spożywanego jedzenia, rozejrzeli się wokoło.

— No i co? Skazani jesteśmy na wygnanie. Lawiny ruszyły. Niewiadomo kiedy wyjść?

Grzebali po kątach, zbierając resztki siana. Nagle rozległ się okrzyk radości jednego z nich.

— Aparat radiowy!

Stali przed nim chwilę bez oddechu, upojeni obecnością kogoś bliskiego, przyjaciela, a może — wybawcy.

— Czy aby działa? — Złączyli. Z głośnika wydostały się słowa. Ludzkie słowa. Oszczędzali je, szanując drogocenne baterie. Delektowali się głosami ludzi, którzy gdzieś bezpieczni, zdala od nich, mówili jakby tylko do nich, jak by tylko dla nich, aby ich pocieszyć, aby ich utrzymać w równowadze.

Codzień czatowali na komunikat. Piątego dnia zgłodniali, zziębnięci, gdyż drzewo wypalili do cna, czekając na głodową śmierć — usłyszeli komunikat narciarski z Krakowa:

— Śniegi, które ruszyły przed pięcioma dniami, odsłoniły zlodowaciałe zbocza. Zjazdy są ciężkie, ale możliwe. Przewidywane są burze śnieżne w najbliższych dniach.

Tylko spojrzeli na siebie. Ostatnia chwila, żeby się ratować, żeby stąd uciec zanim zamiecie ze szczytów i dolin podniosą się kurzawicami w niebo.

— Szykuj deski. Uciekamy!

Kiedy już znaleźli się bezpieczni w Zakopanem, umęczeni, chorzy, ale jednak uratowani, wspominali o swem przeżyciu, jak i nieprawdopodobnej historii, jak o bajce, w której niewiadomy głos z oddali ratuje skazanych na zagładę.



Ranni w walce przeciw komunizmowi żołnierze armii generała Franka pielęgnowani są w szpitalach. Widzimy ich tu zabawiających się w grę; obok siostry pielęgniarki.

Mayer tymczasem mówił dalej:

— Ja rzeczywiście chcę jechać do Ameryki, ale na to potrzeba dużo pieniędzy.

— Dwa tysiące reńskich? — spytał baron.

— Lepiej byłoby trzy tysiące — odparł Mayer, rozzuchwalając się w miarę, jak widział, że baron z konieczności wchodzi w jego plany.

Trzy tysiące — rozgniewał się baron — o tem mowy niema. Dam ci dwa tysiące.

— Jaśnie pan targuje się ze mną, jak z żydem — odpowiedział Mayer — a ja źle zrobiłem, żem odrazu nie poszedł do panny Sylwii. Gdybym się był jej spytał, ile mi da za to, gdy jej powiem, gdzie jej narzeczony, dostałbym z pewnością od niej kupę złota.

— Ależ ona nie ma pieniędzy — odparł Egon, ale przy tem zbladł.

— Byłaby już sobie poradziła — pocieszał się Mayer — kobiety umieją sobie radzić lepiej niż mężczyźni.

— A coby jej tam przyszło z tego — mówił baron, przeszywając wzrokiem Mayera — skoro hrabia Werner już nie żyje.

— Hrabia Werner żyje! — odparł Mayer — myśli pan baron, że ze mną można się bawić? Gdybym sam miał zupełnie czyste sumienie, krzyczałbym coby mi sił tylko starczyło:

— Hrabia Werner żyje!

Baron z błyskawiczną szybkością przystąpił do niego i zatkał mu usta.

— Milcz! — zawołał — mylisz się grubo. Hrabia Werner nie żyje. Ale chcę okupić twoje milczenie, bo nie chciałbym, żeby o moim zmarłym wuju mówiono różne rzeczy. Podaruję ci dwa tysiące reńskich, ale pod warunkiem, że zaraz wyjedziesz do Ameryki.

Mayer widząc, że akcje jego stoją dobrze, postanowił to wykorzystać.

— Przepraszam jaśnie pana barona — rzekł stanowczo — ale ja nie wezmę ani centa mniej, jak trzy tysiące.

— A jeżeli się zgodzę na twoje bezczelne żądanie — odparł baron z wściekłością, któż mi zaręczy, że nie osiędziesz znowu w Königswalden, i nie wypaplasz całemu światu, że wuj mój był zmuszony surowo postąpić ze swoim wnukiem?

Nie głupim zostawać tutaj — rzekł Mayer z chytrą miną. — Złebym wyszedł na tem, bo jaśnie panicz może odzyskać wolność i wtedy byłoby ze mną bardzo krucho.

— Uczepiłeś się tej myśli, jak tonący brzytwy — irytował się baron. — Powiadam ci, że hrabia Werner nie żyje.

— Już ja wiem, co mówię — upierał się Mayer — i prawdę powiedziawszy, żal mi nawet panicza, bo i dobry był pan i na koniach lepiej się rozumiał niż inny. Ale już nie mogę cofnąć tego, com zrobił.

— Głupi jesteś — uśmiechnął się baron.

— Czy dostanę pieniądze, proszę jaśnie barona, czy mam iść na leśniczówkę? — pytał Mayer, zwracając się ku drzwiom.

— Zostańcie — zawołał baron — dam wam teraz te pieniądze, ale nie myślcie, że jeszcze kiedyś będziecie mogli wymusić ode mnie choćby jednego centa. Jeżeli jeszcze kiedy przyjdziecie do mnie po pieniądze, każę was zaaresztować.

— Cóż to ja jestem łotrem? — spytał Mayer, blednąc ze złości.

— Nie tylko łotrów się zamyka — odpowiedział na to baron z szyderczym uśmiechem — ale każdego, który jest niewygodny.

— Całkiem naturalnie — warknął Mayer — jednego do piwnicy pod klucz, drugiego gdzieindziej, potem bezpiecznie.

— No, no, nie bój się — uspakajał go baron — ja cię tylko tak przestrzegałem. Dotychczas żyjemy w zgodzie, a na znak zgody napijemy się szklaneczkę starego wina.

— Dziękuję bardzo panu baronowi, ale nic nie piję — odpowiedział Mayer z dziwną miną — nie służy mi picie.

Baron zbladł jak trup. — Czyżby ten rudy Mayer przypuszczał w jaki sposób wierny Gerhard poszedł ze świata?

Drżącą ręką nalał sobie kieliszek wina i wychylił do dna.

— Nie myśl, że ja mam tak wszystkiego poddostatkiem i tak dużo pieniędzy — rzekł z naciskiem. — Tylko ta szczęśliwa okoliczność, żem wygrał w karty przychodzi mi z pomocą, że ci mogę wypłacić twoje pieniądze, inaczej nawet nie miałbym skąd.

Mayer wzruszył ramionami. Nie wierzył baronowi ani słowa.

Baron Egon zbliżył się do swego biurka, otworzył kluczykiem jedną z szuflad, z której wyjął plik banknotów. Potem odliczył z tego 3000 reńskich; a resztę zamknął znów przezornie do szuflady.

— Czy to moje pieniądze? — spytał Mayer.

— Tak jest — rzekł baron — ale wymawiam sobie, że dziś wieczorem, nie śmiesz już być w Königswalden.

Według rozkazu — mruknął rudy i ukłonił się niezgrabnie zabierając pieniądze.

— Możesz iść — rzekł baron, zadowolony, że już się pozbędzie jego towarzystwa.

Mayer skłonił się i wyszedł.

Miał przy sobie 3000 reńskich, co dla niego było ogromnym majątkiem, ale czuł się bardziej nieszczęśliwym niż przedtem.

— Matko Boska — westchnął — robię to tylko dla Zuzi, bo nie zniósłbym tego, żeby ona mi była niewierną.

Nie miał pojęcia o tem, że ona już mu złamała wierność.

Przybywszy do karczmy zastał Zuzię flirtującą z jakimś strzelcem, któremu rzucił spojrzenie pełne wściekłości i kazał sobie podać rachunek.

Arendarz wypisał rachunek na drzwiach szynkowni.

— Razem 15 reńskich i 10 centów, — rzekł.

— Czternaście reńskich i dziesięć centów — poprawił strzelec chcąc się podchlebić Mayerowi. Pomyliłeś się i to nie na swoją szkodę!

Mayer rzucił mu 15 reńskich mówiąc:

— Resztę możesz sobie schować jako napiwek.

Chodź Zuzio — zwrócił się potem do żony — wracamy do Wiednia.

— Do Wiednia? — skrzywiła się Zuzia niezadowolona, ależ ja nie mam zdrowia na tyle, żeby wciąż jeździć tam i zpowrotem.

— Cicho bądź — ofuknął ją Mayer — cóż ci każę, kartofle kopać czy las karczować? Nie! Masz tylko siedzieć cicho i jechać sobie spokojnie. Jeżeli cię to zmęczy, to będziesz mogła sobie we Wiedniu znowu leżeć w łóżku. Zbieraj się prędko.

— Któż tak ostro obchodzi się z taką ładną żoną — mitygował strzelec.

— Stul pysk! — wrzasnął Mayer.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JADWIGA COURTHS-MAHLER

Ofiary miłości

Powieść

(3 PRZEDRUK WZBRONIONY!

— Nie miałem jeszcze sposobności przywitać panią. A wszędzie się już rozglądałem. Wreszcie mi się udało.

Maria z równą serdecznością odpowiedziała na to przywitanie, dające jej możność uniknięcia dalszej przykrej rozmowy, przy tem Kurt Lebbeck był dawnym jej znajomym, który zwrócił jej swego czasu uwagę na wakujące miejsce rysowniczki w firmie Herbig, za co była mu zobowiązana. Ponadto był potajemnie zaręczony z serdeczną jej przyjaciółką, co zacieśniało węzły obopólnej sympatii.

Bettina chciwie łowiła dochodzące ją poszczególne słowa rozmowy, bardzo ożywionej. Z twarzy Marii poznała, że nie zawsze jest tak sztywna jak wobec niej i z przyjemnością posłyszała, że Lebbeck żegnając ją, prosił o pozwolenie poprowadzenia ją do stołu i otrzymał odpowiedź przyzwalającą. Po jego odejściu Bettina spytała na pozór obojętnie:

— Czy pani zna bliżej pana Lebbecka?

— Tak, proszę pani. Spotykałam się z nim u wspólnych znajomych, przy tem zawdzięczam mu obecną posadę, gdyż on mi zwrócił uwagę na wolne miejsca w firmie Herbig.

— W takim razie mój brat powinien mu być zobowiązany za tak doskonałą siłę. Czy wie, że zawdzięcza to panu Lebbeckowi?

— Nie wiem, proszę pani, gdyż nie powoływałam się na pana Lebbecka. Chciałam posadę swą zawdzięczać jedynie swym zdolnościom.

— Widzę, że pani bardzo dumna — zaśmiała się Bettina — ale to mi się podoba.

W tejże chwili nadbiegł Bernard, cały promieniejący i rozbawiony.

— Mamusiu, przecież mi przyrzekłaś, że będę pomagał pannie Rottman? Mnie chyba nie oddalisz, jak tamtych panów.

— Wcale nie mam tego zamiaru, o ile tylko panna Rottman przyjmie twoją pomoc.

Bernard błagalne spojrzenie skierował na Marię.

— Prawda, że mi pani da jakieś zajęcie?

Maria uśmiechnęła się serdecznie do bardzo jej sympatycznego, rycerskiego młodzieńca.

— To się rozumie, panie Gerold. Zajęcia tu panu nie zabraknie.

W godzinę później spotkawszy wuja Fryca, Bernard wykrzyknął uszczęśliwiony:

— Wspaniała zabawa!

Bardzo mnie cieszy to uznanie. Ale powiedz, gdzie uganiałeś przez cały czas, że cię nie widziałem? — zaśmiał się Herbig.

— Ba! Gdzieżby, jeśli nie przy dzieciach? Jest z niemi panna Rottman i doskonale się z nią bawiłem. Powiadam ci, ta się umie śmiać, że dusza skacze w człowieku.

Fryc z zazdrością spojrzał na siostrzeńca, który tak długo mógł przebywać w towarzystwie Marii.

— Łobuzie jakiś, chyba się nie zakochasz w pannie Rottman, he?

— Phi! O zakochaniu niema mowy. Zostanę starym kawalerem, jak ty.

— A któż ci to powiedział, że ja nim zostanę? — spytał Herbig, prostując się i przystając naprzeciw siostrzeńca.

Bernard zmieszał się na chwilę, poczem odrzekł ze śmiechem:

— Któż, jeśli nie mama. Wciąż mi przecież powtarza: wuj Fryc zostanie starym kawalerem, dlatego musimy mu zastąpić rodzinę. Słuchaj, wuju, a może się jednak ożenisz? To byłoby wspaniałe. W takim razie jabym się naturalnie też ożenił.

— Patrzcie, patrzcie, tak odrazu! Ale powiedz mi szczerze: czy nie sądzisz, że jestem już za stary i brzydki do ożenku?

— Co? Ty brzydki i stary? Jesteś przystojnym, eleganckim człowiekiem co się zowie. Mam jednak inne wątpliwości.

Zmarszczył czoło w poważnej zadumie.

— Proszę! Czy nie mógłbym się dowiedzieć, jakie to są te wątpliwości?

— Powiem ci szczerze. Zdaje mi się, że niema chyba na świecie kobiety, godnej ciebie. Musiałaby być jakąś wyjątkową istotą...

— Poza tym jednak mógłbym liczyć na twoje błogosławieństwo?

— To się wie!

— Pięknie, mój chłopcze, to najważniejsze. A teraz biegnij do orkiestry. Niech sobie urządzą pauzę, a potem będą grać w sali. Młodzież radaby tańczyć jeszcze przed kolacją.

— Pędzę.

W olbrzymich susach ruszył do muzykantów, a Herbig skierował się ku polance, na której bawiły się dzieci. Osłonięty kępą zarośli przez długą chwilę przyglądał się z oddali smukłej dziewczynie w bieli, z takim wdziękiem spełniającej swe obowiązki. Na ciepłych falach przedwieczoru dobiegały melancholijne dźwięki walca, budząc w nim tkliwą tęsknotę. Uczuł nagle namiętne pragnienie szczęścia, miłości. Czemu nie podejdzie do tej dziewczyny, by jej powiedzieć: kocham cię, zostań moją żoną. Czemu od tygodnia trawi się w tajemnej udręce? Cóż go obchodzi opinia świata? Niechaj mówią co chcą! On wie, że Maria godna jest pod każdym względem zostać towarzyszką jego życia. Poco więc zwleka?

* *
*

Dopiero przy kolacji Bettina spotkała się z bratem, stwierdziwszy z żywem zadowoleniem, że Lebbeck poprowadził do stołu Marię i usadowił się z nią dość daleko od szefa.

— Dzięki Bogu, dzieci ubawiły się doskonale — ozwała się Bettina. — A była to robota nielada. Biedna panna Rottman dała istotnie dowód wielkiej cierpliwości, tem więcej, że serce wołało ją gdzieindziej.

— Co znaczą te zagadkowe słowa? — spytał, zmuszając się do zachowania spokoju.

Uśmiechnęła się figlarnie, jakkolwiek sercem jej miotał niepokój.

— Ba, młodzi ludzie mają inne skłonności. Spójrz tylko na nią, a powiem ci w dyskrecji, że mamy przy stole przyszłych narzeczonych.

Cień przemknął po twarzy Herbiga, która zbladła raptownie.

— Masz na myśli pannę Rottman?

— I Lebbecka. Wyobraź sobie, znają się już oddawna i on ją właśnie namówił do tej posady.

— Skąd wiesz o tem wszystkiem? — spytał, nerwowo krusząc w palcach kawałki chleba. Z twarzy jego uciekła cała radość i ożywienie.

— Sama mi opowiedziała. Nie masz jednak powodu obawiać się utraty tak dzielnej siły, bo zdaje się, że narazie nie myślą jeszcze o małżeństwie.

— W takim razie mogę być zadowolony — rzekł Herbig z gorzkim uśmiechem. Wypił szybko kieliszek wina, by pozbyć się dziwnego dławienia w gardle.

Spojrzenie jego pobiegło ku młodej rysowniczce. Zajęta była żywą rozmową z Lebbeckiem, a od czasu do czasu dolatywał go jej dźwięczny ser-

leczny śmiech. Twarz jej była lekko zaróżowiona, a rozmowa zdawała się pochłaniać całą jej uwagę. Herbig zacisnął zęby. Ogarnęło go rozpaczliwe uczucie osamotnienia. A w duchu mówił sobie raz po raz: Dobrze przynajmniej, że się jej nie oświadczyłeś — byłbyś się naraził na śmieszność.

Z trudem opanowywał wzburzenie i gorycz rozczarowania, a Bettina, zdając sobie sprawę z jego stanu, o czym zresztą świadczyła bladość twarzy i przygasłe oczy, winszowała sobie w duszy swego fortelu. Najwyższy był czas postawić tamę tej jego skłonności. Dostatecznie go znała, by wiedzieć, że nie będzie się zajmował cudzą narzeczoną; a tymczasem ona użyje wszystkich sposobów, by tamtych dwoje zeswatać naprawdę. Nie ulega wątpliwości, że sympatyzują ze sobą.

Herbig nie przypuszczał ani na chwilę, że siostra wyssała sobie z palca podaną mu wiadomość. Widział przecież na własne oczy, że Maria zazwyczaj taka poważna i małomówna, całkiem inaczej zachowywała się w towarzystwie Lebbecka.

Później zauważył też, że przystojny agent raz po raz zaprasza ją do tańca. Nie mogąc dłużej znieść swej udręki, wysunął się z sali do ogrodu. Długo siedział na ławie ukrytej w cieniu, walcząc z nurtującą go rozpaczą. Teraz dopiero uświadomił sobie, jak głęboko tkwiła w nim miłość do Marii. Nie mógł bez dojmującego bólu wyrwać z serca tego uczucia, które opanowało całe jego jestestwo.

Wrócił nareszcie do sali. Miał przecież obowiązki wobec swych gości, a Fryc Herbig nigdy jeszcze nie usunął się od spełnienia obowiązku. Wytrwał tedy do końca zabawy. Unikał tylko zetknięcia z Marią i Lebbeckiem, odwracał oczy, ilekroć przypadkowo zobaczył tę rozbawioną parę. Pani Bettina mogła być całkiem zadowolona ze swego dzieła.

* *
*

W zachowaniu Fryca Herbiga ujawniła się uderzająca zmiana, pomimo, że zadawał sobie dość trudu, by ukryć swe rozczarowanie. Możliwie rzadko zachodził teraz do sali rysunków, usiłując uniknąć rozmowy z Marią. W obecnym nastroju nie był zresztą w stanie obmyślać nowych wzorów i pracę tę powierzył jednemu z rysowników. Nie zapraszał jej też jak dawniej na konferencje niedzielne do willi.

Zarówno Maria, posiadająca bardzo subtelne odczucie, jak i inni rysownicy zauważyli tę zmianę w postępowaniu szefa. Koleżanki, które nie bez zawiści obserwowały to jego wyróżnianie Marii, teraz cieszyły się potajemnie, że postradała jego względy.

Maria sama uświadomiła sobie rychło, że Herbig jej unika, że ukłon jego stał się sztywniejszy, i że przestał się do niej zwracać ze specjalnemi zleceniami. Dotknęło ją to tem boleśniej, że dawniej odnosił się do niej tak życzliwie i serdecznie. Wiedziała doskonale, że zamiana ta datuje się od zabawy w parku przedmiejskim i napróżno sobie łamała głowę, co mogło ją spowodować. Nie mogła się jednak domyślić właściwej przyczyny, więc ostatecznie musiała sobie powiedzieć, że jego poprzednia życzliwość i uznanie dla jej zdolności było zwykłym kaprysem, który minął. Żywiła o nim bardzo wysokie mniemanie i ciężko jej było pogodzić się z myślą, że w swojem postępowaniu kieruje się li tylko odruchem chwilowym i fantazją. W ostatnich tygodniach w duszy jej zrodziło się i zakiełkowało coś w rodzaju wielkiej tajemnej miłości. Napróżno usiłowała stłumić to uczucie, zakłócające jej równowagę. Ostatecznie wyrzekła się walki bezowocnej i uważała swą miłość dla Herbiga za fatalność, od której wyzwolić się nie podobna. Miłość ta nie dawała jej ani cienia nadziei. Nie pragnęła i nie marzyła o niczem więcej, jak tylko o możności pracy pod jego okiem i usłyszenia od czasu do czasu z jego ust paru słów uznania.

I oto skończyło się to wszystko. Bolała nad tem głęboko, jakkolwiek na zewnątrz zachowała dawny spokój. Pracowała niestrudzenie i sumiennie, lecz nawet podczas pracy nurtowała ją myśl gnębiąca, czem sprowadziła na siebie tę jego nagłą niełaskę. W pewnej chwili strzelił jej do głowy domysł, który zdjął ją najwyższym lękiem i wstydem.

Może on przejrzał jej uczucia dla niego? Może spojrzeniem, czy intonacją głosu zdradziła mu swoją tajemnicę? I tak możny szef chce jej przypomnieć przepaść dzielącą go od zwykłej urzędniczki?

Myśl ta tak głęboko upokarzająca jej poczucie godności, zalała ją falą wstydu i do reszty pozbawiła sztucznego spokoju. Och gdyby mogła odejść stąd, dokądkolwiek, natychmiast, aby tylko nie być zmuszoną pozostawać w jego pobliżu. Ale tego zrobić nie może. Przypomniała sobie matkę, tak szczęśliwą, że córka znalazła zajęcie dobrze płatne. Nie pozostaje jej nic innego jak wystarać się o inną posadę, zanim wypowie dotychczasową. W dodatku stan matki, przejawiający się początkowo wyczerpaniem i bólami newralgicznemi mocno się pogorszył.

Z ciężkim sercem wychodziła co dnia od chorej do fabryki, gdzie spędzała teraz długie godziny jak na rozżarzonych węglach. Ciężkie dni nastały dla Marii Rottman, a oczy jej straciły dawny blask, świadcząc wymownie o częstych łzach. Fryc Herbig z palącą zazdrością zauważył te ślady łez, lecz przypisywał je tęsknocie za Lebbeckim, który w interesach fabryki wyjechał w dłuższą podróż.

Zbliżały się tym czasem letnie wakacje i Bernard nalegał na wuja, by załatwił z matką projekt jego wyjazdu do Nadrenii.

Bettina okazywała bratu w ostatnich czasach zdwojoną troskliwość i obsypywała go takiemi dowodami miłości siostrzanej, że był do głębi wzruszony. Ostatecznie będzie jednak najlepiej machnąć ręką na wszystko i pozostać w stanie kawalerskim.

Pewnego dnia skierował rozmowę na podróż Bernarda.

Bettina zwróciła się gniewnie do syna.

— Mimo mego zakazu powiedziałeś o tem jednak wujowi Frycowi?

— Tak, powiedziałem mu. Ale nie masz powodu do niepokoju, bo wuj Fryc wcale się nie pogniewał.

— Mimo to okazałeś się samolubnym i niewdzięcznym. A zwracając się do brata, dodała: Jesteś dla niego naprawdę zanadto dobry, dlatego pozwala sobie na wszystko, nie bacząc, czy ci swemi zachciankami nie sprawi przykrości.

— Nie sprawił mi żadnej przykrości, Bettino. Doskonale rozumiem, że młody chłopiec może pragnąć, by raz spędził lato ze swymi kolegami, co wcale nie umniejsza jego przywiązania do mnie.

Bettina nerwowo skubała w palcach chusteczkę.

— Och, o jego przywiązaniu wątpić nie możesz — zapewniła gorąco.

— To też nie wątpię o nim ani na chwilę — z dobrodusznym uśmiechem rzekł Herbig. — Nieprawdaż, Bernardzie? My dwaj doskonale się rozumiemy i wiemy, co myśleć o sobie. A ciebie proszę, Bettino, nie psuj chłopcu przyjemności, tym więcej, że przyrzekłem mu wyjednać twoje pozwolenie. Chyba nie chcesz, bym przez ciebie nie mógł dotrzymać danego słowa?

Bettina aż nadto chętnie spełniła pragnienie swego jedynaka, przekonawszy się, że Fryc zgoła odmiennie zapatruje się na tę sprawę i nie czuje urazy do Bernarda.

Bernard nie posiadał się ze szczęścia. Kolejno rzucał się w objęcia wuja i matki, poczem chwycił czapkę i skierował się ku drzwiom.

— Muszę skoczyć do kolegów, którzy z niepokojem czekają odpowiedzi.

— Doskonale! — zaśmiał się Herbig. — Uwolń biedaków od męki niepewności.

* *
*

Bernard Gerold wrócił z podróży promieniejący zdrowiem i zadowoleniem, a wuj i matka, którym duży dom wydał się pustym po wyjeździe chłopca, z największą przyjemnością słuchali teraz rozlicznych jego przygód, które opowiadał z młodzieńczym ogniem i przejęciem. Dokonał też czynu bohaterskiego, o którym mówił jednak ze skromną prostotą. Z parowca na Renie wpadła do wody dziewczynka, pchnięta przez tłoczących się nowych pasażerów. On pierwszy to zauważył i, nie namyślając się, wskoczył do rzeki i pochwycił małą. Podpłynął z nią do brzegu, a ta zaimprowizowana kąpiel nie zaszkodziła ani jemu, ani dziewczynce. Tylko matka jej zemdlała z przerażenia.

Rodzice dziewczynki obsypali go takiemi dziękczynieniami, że mu było wprost przykro. A gdy się przebrał i wrócił do kolegów, ojciec małej stał pośród nich i urządzili mu prawdziwą owację. Pan ten zaprosił ich wszystkich w liczbie piętnastu na kolację do pierwszorzędnej restauracji, gdzie wydał dla nich wspaniałą ucztę. Podczas wieczerzy rozmawiał głównie z Bernardem, zapisał sobie jego nazwisko i mieszkanie, a nazajutrz rano przyszedł do niego z córeczką, by mu podziękowała za ocalenie. Matka jej, wskutek doznanego przestrachu czuła się tak źle, że tylko za pośrednictwem męża wyraziła mu swoją wdzięczność. Opowiadając całą tę historię Bernard przemilczał tylko, że do rodziny tej należała też dwunastoletnia dziewczynka, daleka krewna. Nie powiedział też, że ona właśnie, ujrzawszy swoją małą kuzyneczkę we wodzie, chwyciła go za ramię i cudnie pięknymi oczyma, w których widniało przerażenie, błagała go o pomoc. Te cudne oczy o złotych błyskach w twarzyczce tak czarującej, jakiej jeszcze nigdy nie spotkał, pożegnały go wdzięcznem spojrzeniem, gdy ruszał w dalszą drogę z kolegami. A kiedy mała ocalona Gabi dziękowała mu srebrzystym głosikiem za ocalenie, on jak urzeczony wpatrywał się w złotawe oczy jej starszej towarzyszki.

Bernard nie mógł zapomnieć tej cudnej twarzyczki dziewczynki o złotych oczach, i wiedział, że zwie się Ewa.

Było to najmilsze wspomnienie z jego podróży, które zamknął w głębi duszy, nie zwierzywszy się nawet przed wujem.

Natomiast w „godzinie zwierzeń“ siedząc obok niego na sofie, opowiadał mu, o czem innem.

— Wuju, czy wiesz, kim jest ojciec tej dziewczynki?

— Skądże? Wszak nam nie powiedziałeś.

— Rozmyślnie, bo nie chciałem mówić o tem w obecności mamy.

— Ależ, mój chłopcze! Cóż to znów za tajemnica?

Bernard odetchnął głęboko.

— Posłuchaj wuju. To był Horst Wendenburg, właściciel tych ogromnych hut żelaznych w Hattenfelde. Przecież to bardzo sławne zakłady — nieprawdaż? Powiedziałem mu, że pragnę zostać inżynierem, a najbardziej pociąga mnie konstrukcja maszyn. I wyobraź sobie, co mi zaproponował! Bym praktykę odbył w jego zakładach. A jeśli mi się będzie u niego podobać, to po ukończeniu studiów, mogę odrazu dostać u niego posadę. I co ty na to?

Herbig serdecznie uścisnął mu rękę.

— Chłopcze! nawet sobie nie wyobrażasz, jakie szczęście przyniosło ci ocalenie tej dziewczynki.

Bernard się zasępił.

— Wiesz, wuju, byłoby mi bardzo przykro, gdybym tej okoliczności miał zawdzięczać moją karierę.

— Przykro, czy nie przykro, mój drogi, to jednak widzę, że przeznaczono ci zostać inżynierem. Los sam rozprasza resztki moich wątpliwości.

— Wuju, czy miałeś wątpliwości?

Herbig nie odpowiedział odrazu. W ostatnich tygodniach postanowił jednak zostać kawalerem, skoro Maria była dlań stracona. Wobec tego nie raz się zastanawiał, czyby przecież nie było lepiej zatrzymać Bernarda w fabryce. W tej chwili jednak odsunął od siebie tę myśl. Chłopak nie czuje chęci do tego zawodu, a z zapałem rwie się od lat do innej działalności. Nie może go więc krępować i skazywać na pracę przymusową.

— Nie, mój drogi, nie mam żadnych wątpliwości. I z całego serca ci życzę, byś znalazł pełne zadowolenie w pracy, która ci odpowiada.

Serdecznie sobie uścisnęli ręce. A Herbig dodał:

— W najbliższych tygodniach pomówię o tem z twoją matką. Teraz mam mnóstwo innych spraw do załatwienia.

* *
*

Między Marią Rottman a Herbigiem wciąż jeszcze panował stosunek dziwnie sztywny, równie bolesny dla obojga. Pogorszenie w stanie matki zmusiło rysowniczkę do pozostania przez kilka dni w domu. Herbig zauważył, że miejsce jej jest wolne, lecz nie zapytał kierownika o przyczynę.

W przeddzień zwolnienia się Marii z biura, Herbig widział, że w południe wyszła z fabryki w towarzystwie Lebbecka, który właśnie wrócił z dłuższej podróży.

Nazajutrz posłaniec uliczny przyniósł do fabryki dwa listy od panny Rottman. Jeden zaadresowany do Herbiga, drugi do Lebbecka. Było to o dziewiątej rano, i Herbig właśnie wszedł na dziedziniec fabryczny. Rozglądający się posłaniec zapytał go, gdzie zastanie pana Lebbecka, któremu ma również oddać list od panny Rottman. Odesłał go po informacje do portiera, a sam wszedł do swego gabinetu i przeczytał krótki liścik, którym usprawiedliwiała w uprzejmych słowach swą parudniową nieobecność. Kończyła słowami: „Dziś o siódmej rano matka moja skonała, proszę tedy uprzejmie o zwolnienie mnie na dalsze trzy dni, bym mogła zająć się pogrzebem“.

Herbig wsparł się łokciami na biurku i dłonią przesłonił oczy. Straciła matkę. Przeżyła ciężkie chwile, a czekają ją również ciężkie. Czy nie należałoby jej zaofiarować pomocy? Przypomniał sobie jednak Lebbecka, którego niezawodnie przyzywała do siebie i serce jego zalała gorycz.

Uczuł się zbytecznym.

Miotany sprzecznymi uczuciami chodził gorączkowo po gabinecie. Drgnął, usłyszawszy lekkie pukanie do drzwi. Wszedł Lebbeck i poprosił o zwolnienie go na parę godzin. Nie pytając o powód, skinieniem głowy wyraził swą zgodę. Wszak wiedział, że agent zwalnia się na skutek listu od Marii.

Gdyby był przeczytał ten list, nie byłby odprowadził młodego człowieka tak niechętnem spojrzeniem. A list ten brzmiał:

„Szanowny Panie!

Dziś rano straciłam moją ukochaną matkę. Jestem rozbita i niezdolna zająć się przygotowaniami do pogrzebu. Pan jest tu jednym bliższym znajomym, do którego mogę się zwrócić o pomoc w tej najcięższej chwili mego życia. Otrzymałam właśnie zawiadomienie o zaręczynach Pana z Helenką, ale nie chcę z domu żałoby przesyłać Panu gratulacji. Pozostawiam na to chwilę swobodniejszą. Mam nadzieję, że Pan spełni moją prośbę i z góry dziękuję.

Z serdecznym pozdrowieniem

Maria Rottman“.

Ciąg dalszy nastąpi.

15)

Niebezpieczny Gość

Powieść

— Posłuchaj tedy — rzekł głucho. — Wczoraj byłem naocznym świadkiem sceny, która zniszczyła przed oczyma mej duszy to, co miałem najdroższego na świecie... rzuciła ukochaną istotę z piedestału na jakim ją postawiłem — odebrała mi wiarę w uczciwość kobiet. O, myślałem, że zmysły stracę, gdy spostrzegłem, że ona mnie oszukuje... I jeszcze teraz w żaden sposób nie mogę zrozumieć, dlaczego mnie zdradziła? Gdyby mnie nie kochała... Ale wiem, że mnie kocha, była moją narzeczoną, a pomimo tego...

I Zdzisław opowiedział pokrótce jakiej to sceny był świadkiem: jak zaszedł Jankę w chwili, kiedy całował ją obcy mężczyzna...

Młody mężczyzna ze spokojem słuchał tego gwałtownego i nieco bezładnego opowiadania przyjaciela. A kiedy ten skończył, Kazimierz zmarszczył łuki czarnych brwi.

— Kto był ten... obcy mężczyzna? — zapytał — Czy go poznałeś?...

— Poznałem. To był lokaj Franciszek! — wyrzucił z rozpaczą Zdzisław. — Rozumiesz teraz...?

Kazimierz znieruchomiał, wzrok utkwił w przestrzeni pokoju. Ponuro zmarszczone czoło i szybkie pulsowanie krwi w widniejących na skroniach żyłkach, kazały domyślić się, że w jego mózgu szaleją w tej chwili jakieś gorączkowe myśli.

— I wiesz napewno, Zdzichu, że to był Franciszek Leśniczak? — rzucił wreszcie szybkie zapytanie.

— Nikt inny być nie mógł — odparł Zdzisław. — Miał twarz starannie wygoloną i czarne włosy. Widziałem go dobrze w chwili, kiedy zaszedł z tyłu, siedzącą na ławce, Jankę i pocałował ją w szyję. Dziwi mnie tylko, że zaraz potem uciekł jak szalony...

W oczach Kazimierza błysnął znany, charakterystyczny płomień. Spojrzał przyjacielowi prosto w oczy.

— Ty podejrzewasz pannę Krańską o romans z lokajem... Czy tak?

Zdzisław nie odpowiedział, lecz jego zmizerowana twarz wykrzywiła się bolesnym skurczem.

— I rozpaczasz, desperujesz, nie upewniwszy się czy podejrzenie twoje polega na prawdzie. Zdzichu, ja ciebie nie rozumiem...

— Czy myślisz, że ja sam siebie rozumiem? Śmiej się ze mnie, miej mnie za szaleńca, ale ja sam nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem jakoby pod panowaniem dziwnej choroby...

Dziennikarz położył mu rękę na ramieniu.

— Słuchaj więc — rzekł. — Musisz wyzwolić się z wszystkiego... Z wszystkiego! — dodał z naciskiem. — Rozumiesz mnie?

Zdzisław zmarszczył brwi.

— Wyzwolić z wszystkiego!... — zawołał. — Czy ty wiesz, że nie można wyzwolić się z potęgi uczucia, co zawładnie duszą ludzką? Czy ty tego nie rozumiesz, że miłości takiej, jaką ja mam dla tej dziewczyny, nie można wyzwolić ze serca... nie sposób jej przytłumić?... Kocham Jankę całą duszą i choćbym musiał odmówić jej szacunku, to jednak kochać... nie! — kochać ją zawsze będę!

Kazimierz gryzł nerwowo usta. Był podirytowany. Chwilę milczał, jakby ważąc w głowie jakieś myśli, poczem ściśnąwszy ramię przyjaciela z taką siłą, że ten syknął z bólu, rzekł podnieconym i dziwnie szorstkim głosem:

— Mówisz, że kochasz pannę Krańską, a równocześnie odpychasz od siebie tę słodką, miłującą cię, dziewczynę i swojem postępowaniem sprawiasz jej wiele zmartwienia... Szalony! Czy chcesz ją stracić na zawsze? Gdzie ty masz oczy, Zdzichu! Czy nie widzisz, że twoje zachowanie, nie tylko, że ją obraża i upokarza, ale martwi ją niezmiernie? A to jest najlepszy dowód, że ona ciebie bardzo kocha... A kochając gorąco, miałażby cię oszukiwać? Przypuszczenie takie musi być nonsensem... A twoje podejrzenia?... Są absurdalne i wynikły tylko wskutek niecnej intrygi. Wierz, bo przecież ostrzegam cię, abyś się nie denerwował cokolwiekby się stało i bez zastanowienia wierzył pozorom. A ty właśnie od razu uwierzyłeś pozorom! Dałeś nabrać się temu, komu może zależeć na tem, abyś ty nie poślubił panny Krańskiej... Co tak patrzysz na mnie? Czy jeszcze mnie nie rozumiesz?... Zatem powiem tobie wyraźniej: Innemi słowy znaczy to, że pannę Krańską nic nie łączyło, ani też nie łączy z „obcym człowiekiem". A wczoraj, jak sam widziałeś, zakradł się jak złodziej do ławki, na której siedziała twoja narzeczona, i — wiedząc doskonale, że ty zbliżasz się i że musisz to zauważyć — pocałował dziewczynę w szyję, zanim zdążyła się zorientować i uciekł, przez nią niepoznany...

Zdzisławowi groźnie błysnęły oczy. Zacisnął pięści, aż paznokcie poczęły kaleczyć ciało.

— Kto jest ten łotr? — zapytał przez zaciśnięte zęby. — Jeśli lokaj, to... to...

Reszta słów pogróżki ugrzęzła mu w gardle.

— Czy lokaj — nie wiem. Ale wiem tylko tyle, że to twój wróg niebezpieczny. Ten sam, co napisał anonimy i w wiadomym celu nasłał na ciebie pannę Niewiarowiczównę — tajemniczy „Gość"!

Wypowiedziawszy nieomal z gniewem ostatnie zdanie, młody dziennikarz odwrócił się i bez pożegnania wyszedł z pokoju. Był zły na Zdzisława, że ten tak mało ufał pannie Krańskiej. Z drugiej strony oburzyła go zuchwałość tajemniczego indywidua. Był teraz przekonany, że osobnik, kryjący się pod dużo mówiącym pseudonimem „Gość", odważy się na wszystko, żeby tylko nie dopuścić do małżeństwa panny Krańskiej... Co on zamierza osiągnąć swoją niecną intrygą? — myślał Kazimierz. — Rękę panny Krańskiej?... — I przerażała go jedna myśl: jeżeli osobnik ów spostrzeże, że jego intryga nie wydaje spodziewanego owocu, czy nie odważy się, pod wpływem złości i może rozpaczy na popełnienie zbrodni?...

Zbiegł szybko z krętych schodów i wnet znalazł się przed willą. Owionęło go świeże powietrze zbliżającego się wieczoru. Odetchnął pełną piersią.

Już miał ruszyć w dalszą drogę, ale rzuciwszy w bok oczyma, nagle znieruchomiał. W następnej chwili schował się za wysoki krzew jaśminu.

Nie wiadomo co Kazimierza skłoniło do szpiegowania Tulczyńskiego. Może uczynił to mimowoli, instynktownie. W każdym razie tłumaczyło go to, że grał obecnie rolę wywiadowcy.

Ukrywszy się więc za krzakiem jaśminu, wychylił ostrożnie głowę.

Tulczyński stał w małem oddaleniu od willi, od strony jeziora. Zdawał się uważnie obserwować środkiem jeziora sunącą łódź z rozbawioną młodzieżą, ale ukryty za krzakiem młody dziennikarz wiedział dobrze, że czynił to, aby zamaskować właściwy cel swej tutaj obecności. Widział bowiem, że literat jest mocno zdenerwowany i, że raz po raz odwraca głowę i rzuca niespokojne spojrzenia w stronę willi.

Kazimierz wejrzał w kierunku tych spojrzeń i przekonał się, że oczy Tulczyńskiego spoczywały zawsze na jednym z otwartych okien. Zastanowił się. Znał już nieco rozkład pokoi willi „Aurory" i bez wszelkiego trudu mógł stwierdzić, że przedmiotem zainteresowania Tulczyńskiego jest gabinet panny Krańskiej.

Utkwił wzrok w otwartym oknie. Do uszu jego dolatywały pojedyńcze słowa rozmowy, a potem... Czy go oczy mylą? Nie! Przez okno wyleciał jakiś przedmiot snać wyrzucony ręką oburzonej nagle mieszkanki zacisznego gabinetu. Przedmiotem tym był bukiet świeżych kwiatów...

Kazimierz mimowoli spojrzał na Tulczyńskiego. Literat stał jak skamieniały, zapatrzony w leżące na murawie, pogardzone kwiaty. Nagle usta jego wykrzywiły się szyderczym, bezgłośnym śmiechem. Zawrócił potem w miejscu i znikł za rogiem muru.

Dziennikarz czekał jeszcze chwilę, potem cicho wysunął się z ukrycia i skierował się w stronę wioski. Szedł ociężale, zwiesiwszy głowę pod ciężarem myśli...

W połowie drogi spotkał lokaja, idącego z panną Niewiarowiczówną. Mrok już poczynał otulać ziemię, to też poznał ich dopiero wtedy, gdy zbliżył się do młodej pary. Zofia pobladła na jego widok i spojrzała nań niespokojnie, trwożnie. Kazimierz uśmiechnął się i, uchyliwszy kapelusza, minął ich szybko...

Rozdział IX

NA PLAŻY

Była godzina dziesiąta rano...

Irena i pan Krański znajdowali się w salonie. Dziewczyna dźwięcznym, wyraźnym głosem czytała nieciekawą rozprawę polityczną „zbzikowanego" autora, który w blisko stu stronnicowej broszurze, starał się udowodnić, że nie powszechne rozbrojenia, ale jedynie potęga militarna państw prawdziwie przejętych duchem pacyfizmu, może uratować zagrożony pokój światowy! — a pan Krański, zagłębiony w wygodnym fotelu, słuchał jej ze znużeniem w sennych oczach. Nie przerywając czytania, Irena raz po raz rzucała oczyma na starszego człowieka, a w miarę upływu minut głos jej stawał się coraz słabszy ,aż wreszcie ucichł zupełnie. Przestała czytać. Popatrzyła niespokojnie na pana Krańskiego. Nie odezwał się, nie zapytał o przyczynę przerwy w czytaniu. Głowę miał opuszczoną na piersi, które poruszały się w miarowym oddechu. Drzemał...

Irena uśmiechnęła się bezgłośnie. Już bez wahania odłożyła broszurę i cicho, na palcach, wysunęła się z salonu.

Po kilku sekundach stała już pod drzwiami żeńskiego gabinetu. Nadsłuchiwała przez chwilę, poczem bezszelestnie uchyliła drzwi. Na widok siedzącej na otomanie, pogrążonej w głębokiej zadumie, Janki, Irena zmarszczyła brewki. Popatrzyła na bladą, zmizerowaną twarzyczkę kuzynki i z nagłem postanowieniem weszła do pokoju .

— Co tu sama robisz, Janko? — zawołała swobodnie. — Co?... Znowu zadumana! E, nie rozumiem ciebie. Czy chcesz popaść w melancholię?... Ależ ja nie pozwolę na to. Dzień jest taki piękny, gorący. Przejdziemy się trochę do wsi. Słońce i powietrze będzie dla ciebie najlepszym lekarstwem.

Janka leniwie odwróciła głowę.

— Nie; dziś nie mam najmniejszej ochoty — rzekła apatycznym głosem. — Zresztą mnie to i tak nie pomoże.

Irena kłopotała się poważnie stanem kuzynki. Rozumiała Jankę dobrze, bo i ona wiedziała już, co to jest kochać. I gdyby ją ukochany miał opuścić... Z drugiej jednak strony nie mogła dopuścić do tego ,aby Janka popadła w niebezpieczną melancholię.

Odrzekła więc poważnie:

— Powinnaś iść, Jano, twoje postępowanie zaczyna mi się niepodobać. Martwisz się, marnujesz niepotrzebnie — wyglądasz okropnie. A jeśli chcesz, aby Zdzisław zmienił swoje postępowanie wobec ciebie, to zamiast go unikać i rozpaczać po kątach, lepiej staraj się z nim spotkać sam na sam, a jestem pewna, że cała sprawa weźmie pomyślny obrót. Bo on cię kocha...

Promyk nadziei ożywił naraz twarzyczkę Janki. Spojrzała pytająco na kuzynkę. Czy Irena ma jakie wiadomości? Może rozmawiała ze Zdzisławem...

— A jednak mam powody, aby wątpić w jego miłość — odparła z wahaniem w głosie.

— Nie, Janko. Sam fakt, że on nie wyjechał stąd, ani też nie zerwał z tobą zupełnie, znaczy już dużo. Zdzisław wprawdzie jest przekonany, że go oszukałaś, ale mimo to nie przestał cię kochać. Bo dlaczego chodzi taki zmartwiony?... Kocha cię, jak przedtem, choć nie można temu zaprzeczyć, że wskutek niesłusznego zarzutu, straciłaś dużo w jego oczach .Ty zaś, unikając młodzieńca, utwierdzasz go w przekonaniu o twej winie. Bo może sądzić, że teraz wstydzisz się z nim spotkać...

Argumentacja była przekonywująca. Twarzyczka Janki ożywiła się. Z nagłem zainteresowaniem popatrzyła na kuzynkę... Jaka to Irena mądra — myślała z uznaniem. — Jak wszystko umie wytłumaczyć... A ona? Ona nawet nie zastanowiła się nad temi szczegółami. Ale bo też od kilkudziesięciu godzin była tak przygnębiona, że nie była zdolna do większego wysiłku myślowego. Teraz jednak — w oczach Janki błysnął płomień nowej energii. — Teraz wie już, jak ma postąpić. Oto, zamiast poddawać się głuchej rozpaczy, starać się będzie wyjaśnić nieporozumienie i przekona Zdzicha, że jest niewinna. Tak, ona go o tem przekona. Ona musi go przekonać!

Żywo zerwała się z otomany. Czuła się jakby wielki ciężar spadł jej ze serca.

— Pójdę z tobą Iruś — rzekła, ściskając kuzynkę. — Dziękuję ci za dobre rady i za tę serdeczną troskę o mnie.

Irena się rozpromieniła. Nie starała się ukrywać swej radości. Była zadowolona, ach, jak była zadowolona, że zdołała wyrwać Jankę ze stanu przygnębienia i apatii. Ucałowała ją w oba policzki.

— Zobaczysz, że nie będziesz żałowała — mówiła z tajemniczym uśmiechem. — Wiesz? Pójdziemy w stronę wioski... Przygotuj się więc prędko. Ja wrócę tu za chwilę.

Wybiegła... Powróciła cicho do salonu. Pan Krański spoczywał nadal w błogich objęciach Morfeusza. Irena spiesznie nakreśliła parę słów na małej karteczce, którą następnie położyła na stole obok drzemiącego z filuternym uśmiechem na ustach i wysunęła się z pokoju.

W kwadrans potem Irena i Janka znajdowały się już nad jeziorem. Ubrane były w jasne sukienki bez rękawów, na głowach zaś miały duże, białe kapelusze. Prócz tego kolorowy parasol chronił ich twarze i ramiona od żaru promieni lipcowego słońca.

Postępowały aleją nadbrzeżną. Irena starała się dowcipną rozmową rozerwać towarzyszkę i zmienić jej poważny nastrój. A Janka, słuchając jej wesołego szczebiotu, zapomniała rzeczywiście o swojem zmartwieniu. Wesołość kuzynki i jej się udzieliła. Twarzyczka zarumieniła się trochę, oczy jaśniej spoglądały na świat.

Kiedy w odległości sto pięćdziesiąt metrów oczom ich ukazał się mały domek, położony tuż nad brzegiem jeziora, Irena zaprzestała nagle wesołej paplaniny.

— Czy to jest domek rybaka? — zapytała, a w głosie jej, prócz ciekawości, przebijał jakby cień niepokoju.

— Tak — odrzekła Janka.

Irena przyspieszyła kroku. Wzrok jej objął czerwony domek, potem pobiegł dalej nad jezioro i zatrzymał się na pomoście z desek, gdzie w odbiciu promieni słonecznych jaśniały, rzędem stojące łodzie.

Uważnie rozejrzała się dookoła. Czyżby wypatrywała kogo? Prawdopodobnie. Bo kiedy wreszcie obok domku rybaka zobaczyła grupkę mężczyzn, wśród których jej bystry wzrok rozpoznał Kazimierza Szperackiego, uśmiechnęła się zadowolona.

Młody dziennikarz też dojrzał je niebawem. Już zdaleka ukłonił się i szybko podszedł do panienek.

— Co za miłe spotkanie — zawołał przyjemnie zdziwiony. — Właśnie wynajęliśmy z panem Tul-

czyńskim łódź i chcemy popłynąć na drugą stronę jeziora. A panie chyba nie odmówią mej prośbie i łaskawie zechcą nam towarzyszyć...

Wzrok młodzieńca z zachwytem przesuwał się po wysmukłej postaci Ireny, a potem wyczekująco spoczął na twarzy panny Krańskiej.

— Mamy więc popłynąć na plażę? — zapytała Janka.

— Dzień jest upalny, więc z przyjemnością można użyć słonecznej kąpieli. Pani jest dzisiaj blada, panno Janeczko, a sądzę, że trochę ruchu i słońca będzie miało dodatni wpływ nietylko na pani zdrowie, ale i na humor...

Janka uśmiechnęła się smętnie. Zrozumiała lekką aluzję.

— Kiedy pan tak mówi, musi to być prawda — rzekła wesoło. — Ale ja nie mogę tu decydować, gdyż jestem dzisiaj pod rozkazami mej kuzyneczki.

Kazimierz spojrzał na Irenę.

— Prawda to panno Irko? — zapytał. — O, w takim razie wszystko w porządku. Panie jadą z nami.

— Ależ panie — obruszyła się Irena. — Czy moje słowo nic tu nie znaczy? Przecież ja jeszcze nie zadecydowałam.

— Więc?... — Oczy dziennikarza zatonęły w oczach dziewczyny z wyrazem trochę szatańskim.

— Jedziemy — rzekła zarumieniona Irena.

Janka także wyraziła zgodę.

Zbliżył się do nich Tulczyński.

— Panie jadą z nami? — zapytał z nietajoną radością w głosie.

— Tak — odrzekła Janka. — Pod pewnym jednak warunkiem.

— Jakim?

— Jeśli będę pewną, że panu będzie miłe nasze towarzystwo.

— Napewno miłe, panno Janino — pospieszył z zapewnieniem literat. I dodał: — Tylko szkoda, że nie ma z nami pana Donieckiego.

Irena zmarszczyła brwi. Dziennikarz również, a w czarnych oczach błysły mu iskry gniewu. Pohamowała się jednak, spojrzawszy na pannę Krańską.

Janka drgnęła na dźwięk nazwiska Zdzisława, ale opanowała się natychmiast. W głosie Tulczyńskiego wyczuła odcień ironii i to ją zastanowiło. Co literat chce od niej? Acha! Wie już. Zapewne dowiedział się o zaszłem pomiędzy nią i Zdzisławem nieporozumieniu i teraz pragnie zemścić się za to, że pogardziła wczoraj jego kwiatami... chce ją upokorzyć! Ale jeśli tak, to jego przenośnia chybi celu. — Odważnie spojrzała Tulczyńskiemu w oczy i nawet zdobyła się na uśmiech.

— Pan Doniecki napewnoby nam towarzyszył — rzekła swobodnie. — I nie mógł tego uczynić tylko dlatego, że od rana nie ma go w willi.

Literat wejrzał na nią badawczo i przygryzł usta, a Irena dostrzegła, że ciemna chmura przesunęła się przez jego czoło.

Kazimierz skoczył po łódź, którą następnie przyholował do brzegu. Usadowili się w niej wygodnie. Dziennikarz przy wiosłach, Irena, uprzedziwszy Tulczyńskiego, pochwyciła za ster.

Płynęli z dużą szybkością. Irena sterowała doskonale. Od czasu do czasu podnosiła oczy i spotykała spojrzenia młodego dziennikarza, które coraz więcej stawały się jasne i uśmiechnięte. Janka natomiast, po zamienieniu kilka słów z Tulczyńskim i Kazimierzem, całą swoją uwagę skupiła na lazurowej powierzchni, goniąc wzrokiem szybujące w wodzie, rożigrane gromadki lśniących w słońcu rybek...

Z przeciwnego brzegu dolatywały kaskady śmiechu rozbawionej młodzieży, wśród której przeważała płeć piękna, strojna w barwne sportowe kostiumy. Na plaży było wyjątkowo dużo letników. Irena, wyszukawszy oczyma miejsce więcej oddalone od wielkiego, wytwornego budynku, na którym widniał artystycznie wykonany napis „UZDROWISKO", skierowała łódź do brzegu.

Wysiadającemu na ląd towarzystwu z willi „Aurory" towarzyszyły krytyczne spojrzenia i zdawkowe uwagi bawiących na plaży dam, oraz natarczywe, zaczepne spojrzenia mężczyzn.

W czasie kiedy Kazimierz i Tulczyński byli zajęci umocowaniem do brzegu i zabezpieczeniem łodzi, Irena i Janka powoli ruszyły przed siebie. Ciekawie rozejrzały się po plaży. Z letników nie znały nikogo, bowiem w olbrzymiej większości byli to mieszkańcy okolicznych miast i miasteczek.

Janka rozpięła parasol. Szły powoli, ściągając na siebie spojrzenia mężczyzn.

W pewnej chwili ktoś uchylił kapelusza. Dziewczyny minęły go nie odwracając głów. Czuły jednak obecność natręta za plecami; deptał im po piętach. Za chwilę zrównał się z niemi, dyskretnie zaglądając pod parasol. Zobaczyły gładką, wypielęgnowaną twarz i czarne, błyszczące oczy. Janka drgnęła. Oczy te, wpatrzone w nią, miały wyraz błagalny. Szło z nich ku niej błaganie, szedł zachwyt, szła prośba...

Jance zachmurzyła się twarzyczka. Oczy te przypomniały jej inne, piwne oczy z takim samem zachwytem na nią patrzące...

Irena zauważyła manewry nieznajomego młodzieńca. Wejrzała na kuzynkę, potem szybko na nieznanego intruza i nieznaczny uśmieszek zaigrał na jej ustach. Szepnęła Jance jakieś słowo, po czym zrobiły nagły wzrot w tył. Nieznajomy młodzieniec przystanął. Namyślał się, czy raz jeszcze ma próbować zbliżyć się do ładnych, a tak nieprzystępnych panienek, ale, ujrzawszy zbliżających się do nich młodego dziennikarza i Tulczyńskiego, usunął się czemprędzej.

Skierowali się teraz w stronę przylegającego do jeziora lasku, na skraju którego zamierzali spocząć. Kazimierz przysunął się do Ireny i pozostał z nią nieco w tyle za, idącą z Tulczyńskim, panną Krańską.

Wejrzał dziewczynie w oczy.

— Czy dowiedziała się pani jakich szczegółów o Alfonsie Rozwiczu, panno Ireczko? — zapytał cicho. — Może pani zapomniała?

— Nie zapomniałam. Wprawdzie nie dużo się dowiedziałam, ale i to może przydać się panu. Wiem tylko tyle, że ów Rozwicz jest ciemnym blondynem, ma nos prosty, obecnie może liczyć trzydzieści parę lat i jest wzrostu...

— Może takiego, jak pan Tulczyński?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jak pan Tulczyński? — powtórzyła. — Panie Kazimierzu, dlaczego takie porównanie?

Roześmiał się cicho, zagadkowo.

— Tylko pytam się, nic więcej — odrzekł, podnosząc na nią śmiejące się oczy. — Więc...?

— Nie wiem. Janka powiedziała, że ów Alfons Rozwicz jest wysokiego wzrostu.

— Spodziewałem się tego — mruknął Kazimierz. Wpatrzył się w idącego przed niemi literata. Irena nie widziała, że źrenice młodego dziennikarza rzucały w tej chwili groźne, złowróżbne błyski.

Tulczyński był zadumany. Nie zabawiał Janki rozmową. Milczał, rzucając raz poraz niespokojne spojrzenia na swą towarzyszkę. Oczy Janki obojętnie przesuwały się po grupkach rozbawionych letników. W pewnej chwili zdawało się jej, że dostrzega znaną sylwetkę. Spojrzała uważniej i naraz przybladła, a serce jej drgnęło bolesnym skurczem.

W tłumie letników dojrzała Donieckiego... Zdzisław nie był sam. Szedł w towarzystwie korpulentnej damy. Dama ta opierała się na jego ramieniu i, opowiadając coś, kokieteryjnie zaglądała mu w oczy.

Tulczyński wejrzał w kierunku wzroku Janki. Dojrzał Zdzisława. Uśmiechnął się szyderczo.

— Można zazdrościć panu Donieckiemu — rzekł wesoło. — Ma szalone powodzenie... Płeć piękna psuje go poprostu, choć i jemu nie brak inicjatywy.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 17 stycznia 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa 12.03 Poranek muzyczny 14.45 Muzyka ludowa 15.30 „Audycja dla wsi" 16.00 „Zielone kolędy" 16.15 „Potrójny ślad" — słuchowisko 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 19.20 Płyty 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 „Recital fortepianowy Stefana Aszkenazego 22.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 18 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Audycja dla szkół" 12.03 „Cyganie w muzyce" — koncert 12.50 „Czy warto jeszcze mówić o myciu" — pogadanka 15.15 Najnowsze płyty Lucyny Szczepańskiej i Mieczysława Saleckiego 15.55 „Wszystkiego po trochu" 16.15 „Skrzynka językowa" 16.30 „Szczedriwki" — audycja w wyk. Świętojurskiego Chóru 17.00 „O badaniach orientalistycznych" — odczyt 17.15 Pieśni Ludwika Beethovena 17.35 Robert Casadesus gra Koncertstück f-moll Webera 18.50 „Godny naśladowania przykład" — reportaż ze wsi Ordzianów 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert w wykonaniu Małej Orkiestry P.R. 21.00 „Poezja miłości" — fragment słuchowiskowy 21.30 „Na chłopskim weselu" — suita 22.00 Koncert symfoniczny pod dyr. Neumarka z udziałem Łopatnikowa 23.00 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 19 stycznia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół (dla dzieci młodsz.) „Na śniegu i na lodzie" — Stanisława Sojeckiego — z Poznania 12.03 Muzyka włoska 15.15 Orkiestra i piosenki argentyńskie 16.30 Muzyka hinduska — reportaż z płyt 17.15 „Dni powszednie państwa Kowalskich" — powieść mówiona „Sonaty skrzypcowe Ludwika Beethovena" 17.50 „Życie papierowe" — monolog 19.00 „Dyskutujmy" — „W jaki sposób książka wychowuje dziecko?" 19.20 Mała Orkiestra P.R. 20.00 Koncert Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki z okazji 10-lecia jego działalności 21.50 Muzyka taneczna 22.30 „Poezja powstania styczniowego" 22.45 Muzyka taneczna z kawiarni.

Środa, dnia 20 stycznia 1936 r.

.630 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Muzyka popularna 15.15 Uwertury i fantazje operetkowe 16.10 „Czem jest twój tatuś"? — „Piekarzem" — audycja dla dzieci 16.25 Koncert orkiestry P.R. 17.00 „Rola marynarki wojennej" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „Obrazek z życia miasteczka' — felieton 18.50 „Nie marnujmy czasu i młodości" — pogadanka 19.00 „Pojedynek Dowejki z Domejką" — opowiadanie Melchiora Wańkowicza 19.20 Muzyka lekka 21.00 „Opowieść o Chopinie" — 7 wieczór 21.40 Ernest Chausson Koncert podwójny na skrzypce i fortepian 22.20 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 21 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Arie operetkowe 12.50 „Samokształcenie" — pogadanka 15.15 Muzyka salonowa 16.35 Zapomniane pieśni w wykonaniu chóru 17.00 „Płatna praca terminatorów, a bezrobocie" — odczyt 17.15 Wolfgang Amadeusz Mozart 19.00 „Nieznany rapsod" — premiera słuchowiska w Teatrze Wyobraźni 19.45 Koncert Małej Orkiestry P. R. 21.00 Audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" 21.45 Muzyka taneczna 23.00 Koncert pod dyr. Namysłowskiego.

Piątek, dnia 22 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert w wykonaniu orkiestry wojskowej 15.15 Pieśniarze murzyńscy 16.30 Muzyka lekka 17.00 „Przez kraj wiatraków i rzek płynących w górę" — felieton 17.15 Dwie serenady 18.50 „Karnawał na wsi" — pogadanka 19.00 „W lasach" — fragment 19.20 „Z pieśnią po kraju" 19.45 Fragment operowy 20.00 Pogadanka muzyczna 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Poradnia świadomej prawdy" — skecz 22.45 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 23 stycznia 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 „Śpiewajmy piosenki" 12.03 „Piotr Mascagni" kompozytor i dyrygent" 14.30 „Zima w lesie" — słuchowisko dla dzieci 15.15 Koncert z udziałem Czaplickiego 16.15 Popularne melodie Georga Bizet'a 17.00 Koncert solistów 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą „Wesoła wieczornica" 19.30 „Przy wieczornej herbatce" — wiązanka melodii 20.30 Nowości literackie 21.00 Muzyka rozrywkowa z Włoch 22.00 „Wesoła Syrena" — „Małżeństwo z ogłoszenia" 22.30 Muzyka taneczna.

H-U-M-O-R

W sądzie

Sędzia: — Co, już znowu tutaj? Mówiłem wam przecież ostatnio, że nie chcę was tutaj oglądać!

Włóczęga: — Tak, panie sędzio, powtórzyłem to policjantowi, ale on nie chciał mi uwierzyć!

Nie zrozumiała

Na morzu sroży się straszna burza. Okrętem woda miota jak piłką, wszyscy są niepewni życia.

— Panie kapitanie — zapytuje jedna z pasażerek, odmawiająca od godziny pacierz — czy jest jaka nadzieja?

— Bardzo słaba. Za kilka minut będzie pani w niebie.

— A niechże mnie Bóg od tego zachowa! — zawołała przerażona pasażerka.

W biurze mieszkaniowym

— A więc pani szuka dwupokojowego mieszkania? Muszę z góry powiedzieć, że bardzo są słabe widoki, ale zapewniam panią, że spełnię wszystkie jej pragnienia!

— Ach, to bardzo ładnie z pańskiej strony! W takim razie szukajmy razem czterech pokoi!

Dobry stóż

Policjant zdybał w nocy stróża, który na schódkach domu smacznie zasypiał.

— Czy to tak się pełni obowiązek? — krzyknął na niego.

— A tak — było odpowiedź — daję tym, co po nocach hulają, dobry przykład, jak mają spokojnie spać, a nie noce marnować.

Z listu uczciwego człowieka

Łaskawy Panie! Pożyczonej mi kwoty, niestety, nie mogę panu zwrócić. Co do procentów jednak — to pozostanę je panu nadal dłużny.

Nowożeńcy

Ona: — W książce kucharskiej, którą mi podarowałeś, jest błąd drukarski Czy go spostrzegłeś?

On: — Nie widziałem go, ale go skosztowałem.

Zmieniła nazwisko

Robotnica, analfabetka, przychodzi do kasy po odbiór swej tygodniowej zapłaty. Jako nieumiejąca czytać i pisać, dotychczas zawsze podpisywała kwit znakiem krzyżyka. — Tym razem jednak zamiast krzyżyka zrobiła kółko. Zapytana, dlaczego nie zrobiła krzyżyka odrzekła:

— Przecież panowie wiecie, żem wyszła zamąż i zmieniłam nazwisko.

Choćby nie chciał, musi

— Co, ty na starość uczysz się francuskiego, angielskiego i włoskiego?

— A tak, — wzdycha zagadnięty. — Z jednym językiem nie mogę sobie dać rady z moją żoną!

W niebezpieczeństwie życia

— Panie doktorze, czy mojemu życiu naprawdę zagrażało niebezpieczeństwo?

— Tak, droga pani, przecież odwiedzałem panią dwa razy dziennie!

Szkoda

Na dworcu, mąż patrząc melancholijnie na na stertę pakunków mówi:

— Szkoda, że nie zabraliśmy fortepianu.

Żona zdenerwowana: — Tylko nie staraj się być dowcipnym.

— To nie żaden dowcip. Na fortepianie leżą nasze bilety kolejowe.

Praca

— No, możecie mi pogratulować — mówi Józio Letkiewicz nowożeniec, do przyjaciół — wczoraj zacząłem wydawać po raz pierwszy własną pracą zarobione pieniądze.

— W jaki sposób?

— A no, wczoraj teść wypłacił mi posag.

Koncert domowy

— Czy nie znajduje pan, że moja żona cudnie śpiewa?

— Jak proszę??!

— Ja chciałem... powiedzieć... czy nie uważa pan, że moja żona ma ładny głos?

— Nie, pan wybaczy, ale ja nie słyszę ani jednego słowa, odkąd ta osoba tam wyje!!!

Skutek

— Mówił mi pan niedawno, że kupił pan radio, aby na wieczory zatrzymać swoich synów w domu — ciekawym, czy się to jednak udało?

— O, jeszcze jak! nie wychodzą wcześniej z domu, dopóki speaker radiowy nie powie „dobranoc państwu".

Zna ją

Ona: — Pańskie oświadczyny, są, niestety bezcelowe — jestem już zaręczona!

On: — Nie szkodzi, mogę poczekać!

Diagnoza

— Pańska żona jest bardzo chora — zapisałem jej lekarstwo...

— A jak ono nie pomoże?

— No — to pan będzie musiał suknię kupić!

Pożyczka

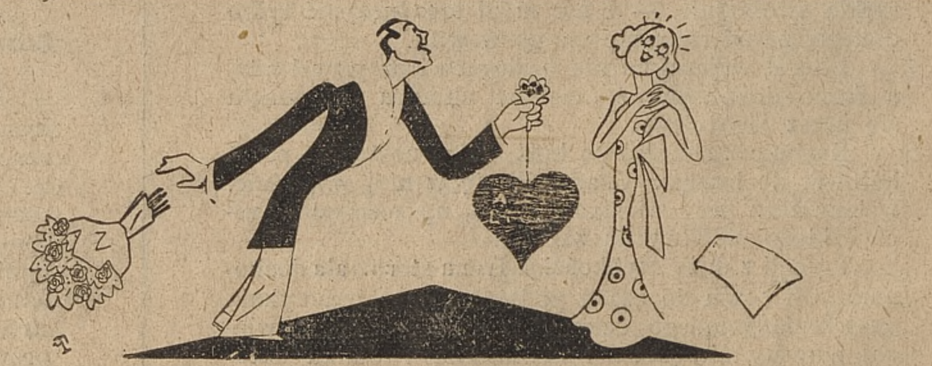
W ub. tygodniu pożyczyłem panu 10 zł, które jak pan powiedział — były mu potrzebne tylko na krótki czas!

Zgadza się! Po kwadransie nie było po nich ani śladu!

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Wacław B. Gniezno. Z łamigłówek, które przyrzekaliśmy zamieścić, skorzystamy w przyszłości. Prosimy Pana o dalszą współpracę z „Chwilą zastanowienia" i serdecznie pozdrawiamy.

P. L. K. Bydgoszcz. Z nadesłanych logogryfów, niestety, skorzystać nie możemy, gdyż technicznie są źle wykonane. Prosimy nadsyłać zadania rysowane tuszem, na rysunkowym papierze. Łączymy miłe pozdrowienia.



Ofiara karnawału...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajk itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie.